

2552/1984/14

vt 11

» Tak zdobyć milion dolarów

W numerze:

General Sikorski miał zginąć nad Atlantykiem w 1942 roku?

Kamień na kamieniu

KARATE

» RKS Motor po dwóch rundach

NAZARETH

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

# Kamienia

NR 14 (807)

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

1 - 14 lipca 1984

CENA 10 ZŁ



To są litery i cyfry projektu Andrzeja Kota. A teraz odwróć rysunek!

## Bałtyk nie Kuwejt, ale...

Któż z nas będąc nad Bałtykiem nie zbierał bursztynu na plaży, u samego styku lądu z morzem? Uwielbiają to czynić dzieci z kolonii, z wielkim samozaparciem robią to wczasowicze, a także kuracjusze nadmorskich uzdrowisk i niedzielni turyści. To zbiorowe hobby Polaków powtarza się każdego lata. A potem kawałki owej żywicy wieków, wraz z muszelmami i innymi bezużytecznymi drobiazgami poniewierają się po szufladach, przypominając jedynie swą obecnością pobyt w Krynicy Morskiej, Juracie, Sopocie czy Władysławowie, w Ustce, Kołobrzegu bądź Dziwnowie, w Międzyzdrojach, Wisłce czy Swinoujściu.

Henryk Mąka

Dokończenie na str. 8

# Z notatnika

18 VI. Dziś jakiś maniak z Puław przysłał nam karteczkę z wydrukowanym na powielaczu tekścikiem: „Obywatelowi(ce) — w tym miejscu dopisane kredek „om z „Kamena” — za gorliwy udział w partyjnym pochodzie pierwszomajowym i uslužne poparcie dla poczynań władz — podziękowanie składa pamiętające społeczeństwo. PS. Nie zapomnij o wyborach — to Twoja szansa!”

Karteczka nieco się spóźniła, nadeszła już po wyborach. „Pamiętające społeczeństwo” informuje jednak, że o wyborach pamiętałem i — sądząc po frekwencji — owo „pamiętające społeczeństwo” — również!

22 VI. „Krajać jak materii staje” — to tytuł artykułu Janusza Koniusza, redaktora naczelnego „Nadodrza”, artykułu, który ukazał się na łamach miesięcznika „Prasa Polska” (nr 6).

„Nadodrze” (przy okazji — reklama) jest jak i „Kamena” ciągle dwutygodnikiem; pismo to wychodzi w Zielonej Górze, a więc na drugim krańcu Polski.

Wiele spostrzeżeń red. Koniusza pokrywa się z moimi — odległość nie ma więc żadnego znaczenia.

„Kaźda redakcja — pisze m.in. red. Koniusz — ma ambicję redagowania pisma na wysokim intelektualnym poziomie, pisma, które by zamieszczało ambitne, zaangażowane reportaże, dużej społecznej wagi publicystykę, wysmakowaną prozę, subtelną, znaczącą poezję, korespondencję z egzotycznych, najlepiej ciepłych krajów, pisma bez umizgów do mniej wyrobionego czytelnika, czyli pisma bez horoskopów, krzyżówek, rozważań o życiu pozagrobowym, bez tekstów o urodzicielach. [...] Tylko że zapotrzebowanie na takie właśnie ambitne pismo w niewielkim ośrodku jest po prostu niewielkie. I nic się na to, przy najmniej w najbliższych latach, nie poradzi. Ambitna sztuka, ambitna literatura ciągle jest u nas elitarna, a my najczęściej udajemy, że tego nie dostrzegamy. [...] Numer, który wydaliśmy na nasze ćwierćwiecze, myślę, że jeden z lepszych w dziejach „Nadodrza” [...] miał 60 procent zwrotów. I nawet jego reklama w prasie, radiu, w TV nie pomogła, bo, jak wiadomo, każde pismo najlepiej reklamuje się samo. A równocześnie ostatni ubiegłoroczny numer o nakładzie 14 tysięcy egzemplarzy z „horoskopem na cały rok” rozszedł się w ciągu kilkunastu minut. I to też żadnej reklamy. [...] Przed redakcjami pism społeczno-kulturalnych wydawanych na prowincji, a może i w stolicy także? staje problem: jakie pismo wydawać, czy ambitne bez jakichkolwiek umizgów, ale w minimalnym nakładzie aż do samozatrącenia się, czy też takie, w którym obok ambitnego felietonu krzyżówka obok reportażu o działaczu społecznym horoskop na

cały rok? Jeśli ktoś kupi pismo, a pismo, o czym nam przypominają coraz częściej wydawcy, trzeba również sprzedać, dla krzyżówki „scen miłosnych” i tym podobnych „szmoncesów”, to jest szansa że przy okazji przeczyta on wiersz, szkic o przeszłości środkowego Nadodrza, recenzję z przedstawienia teatralnego, z koncertu, reportaży...”

Janusz Koniusz mówi kubek w kubek to samo, o czym ja mówiłem lat temu kilkanaście w Kazimierzu podczas narady redaktorów prasy społeczno-kulturalnej. „Kamena” miała wówczas własne doświadczenia, stosunkowo szybko udało jej się siedmiokrotnie zwiększyć nakład, ale stało się to dzięki częściowej zmianie zawartości pisma. Nie wszystkim to się podobało, prawda, niektórzy czytelnicy od nas odeszli, ale zyskaliśmy bardzo wielu nowych, zwłaszcza młodych, i sądzę, że i dzisiaj, kiedy dorosli, też możemy zaliczać ich do grona naszych sympatyków.

Inna rzecz, że już kilkanaście lat temu staraliśmy się o przekształcenie „Kamena” w tygodnik. Odpowiednie decyzje zapadły w Warszawie jedenaście miesięcy temu, niestety lubelska baza poligraficzna okazała się fortecą nie do zdobycia...

Kiedy już tak rozważam „pro domo sua”, chcę przy okazji poinformować tych wszystkich, którzy nadesłali swe prace na konkursy „Kamena” (konkursy, bo jeden dotyczył reportaży, a drugi wspomnień), że wkrótce ogłosimy wyniki konkursu na reportaż, natomiast konkurs na wspomnienia rozstrzygniemy dopiero na jesień. Dlaczego tak późno? Ano dlatego, że nadeszło ponad sześćdziesiąt prac, a niektóre spośród nich mają do... 500 stron maszynopisu! Każdy z członków jury musi te prace i przeczytać i ocenić, a przecież członkowie jury mogą się tym zająć tylko w godzinach, powiedziałbym, nadliczbowych! Dlatego też proszę uprzejmie o cierpliwość...

W tymże samym numerze „Prasy Polskiej” Andrzej Czalbowski zamieszcza smutnawy tekst o egzaminach na prezenterów i reporterów telewizyjnych. Warunek — studia wyższe, znajomość dwóch języków, praca w zawodzie dziennikarskim. Zgłosiło się około 200 osób. Zdajemy mieli kłopoty z podaniem czterech tytułów wojewódzkich organów partyjnych, z odpowiedzią na pytanie, kiedy przeprowadzono w Polsce reformę administracyjną, ustaleniem, kto jest ministrem Pracy, Plac i Spraw Socjalnych, czy kto jest szefem PRON. „Na ogół — pisze Czalbowski — okazywało się, że wszyscy są tak zajęci, że nie chodzą do kina, teatru, nie czytają książek, nie oglądają telewizji. Owszem, dwie osoby widziały „Wielopole”. Obu się nawet podobało. Ale jedna nie potrafiła powiedzieć, o jakich to sprawach

i czasach sztuka opowiada. Indagowana zaś o piosenkę żołnierską — czy się z czymś jej kojarzy, powiedziała, że nie. Zapytano ją wtedy czy słyszała o Legionach Piłsudskiego. Odpowiedziała, że nie. Druga mówiła frazesy o proteście przeciw wojnie. [...] Tygodników, a nawet gazet, myślę, że też nie czytają, o czym świadczy dobitnie sprawa pytań testowych edukacja lingwistyczna pewnie też czasu zbyt dużo nie zabiera. Więc ino pracują? Noc wygnana, noc przygnana? Chociaż może? Przy takim poziomie wiedzy ogólnej musi to być morderga trudna do wyobrażenia, trud syzyfowy. Można oczywiście przyjąć, że do konkursu stanęli wyłącznie nieucy, intelektualnie zera. Być może, że przyjęcie takiej tezy byłoby nawet krzepiące i optymistyczne. Myślę jednak, że trzeba uznać fakt inny: że mieliśmy do czynienia z reprezentacją młodego dziennikarstwa. I to już napawa melancholią i smutkiem...” Ciekawe, jak by wypadł sprawdzian w środowisku młodych dziennikarzy lubelskich? Czy oni też „ino pracują”?

23 VI. Przed chwilą zakończył się mecz w piłce nożnej Francja — Portugalia. Cóż to było za widowisko pełne dramaturgii! Najpierw 1:0 dla Francji, potem 1:1 i dogrywka, czyli 2 razy po 15 minut. Gol dla Portugalii i z 1:1 robi się 1:2. Francja wyrównuje i jest 2:2. Kiedy wydaje się, że wszystko rozstrzygną rzuty karne, Platini pokazuje łwi pazur. Nokaut, bo do zakończenia drugiej części dogrywki pozostały już tylko minuty...

Przyznaję, że kibicowałem Portugalczykowi. Może dlatego, że mecz toczył się na terytorium Francji? A może dlatego, że Portugalia w swoim czasie pokonała m.in. Polskę i ona (Portugalia) właśnie wzięła udział w mistrzostwach Europy? Przegrać z finalistą to żadna hańba. Ale z półfinalistą również!

To, co się dzieje na boiskach Francji, raz po raz zaskakuje kibiców. RFN poza burtą. Belgia również. Francja i Belgia, RFN i Hiszpania — wydawało się, że drużyny tych właśnie państw wystąpią w półfinałach. Może ktoś ewent. liczył na Hiszpanię, ale na Danię?

W piłce nożnej wszystko jest możliwe i stąd jej urok. Teraz pytanie: czy polska piłka ma już piękne dni poza sobą? Zobaczymy. Życzę jej jak najlepiej, ale może nadszedł czas, w którym następuje zmiana warty?

Po meczu oglądałem w TV koncert polskich wytwórni fonograficznych — drugi dzień Festiwalu Piosenki w Opolu. Wczoraj wytrzymałem tylko przy pierwszej części retransmisji. Oklasków specjalnie nie było, ale prawie każdą piosenkę wykonawcy powtarzali. „Moja mała doprawdy ze mną jest” — informowała świąt Beata Kozidrak z Bajmu. Słowa, jak słowa, dla mnie raczej głupawe, ale przynajmniej panią Beatę można zrozumieć, natomiast dykcja co niektórych innych wykonawców fatalna! Nie znam się na współczesnej muzyce młodzieżowej, do czego się przyznaję, poletko to zostawiam Istwanowi Grabowskiemu, ale rzadko, bardzo rzadko słyszę coś, co trafia mi w ucho, mam tu zwłaszcza

czka na myśli teksty. Podobno obecnie teksty są nieważne. I zapewne dlatego dawno już nie było na estradach takiej inwazji grafomanii i nudziarstwa.

„Pogoda jest dla bogaczy, dla ubogich są pogody złe” — śpiewał Andrzej Rybiński. Czyżby dla bogaczy były też dobre piosenki? Oczywiście narazam tu się tysiakiom (milionom?) małałatów, jestem dla nich wapniakiem do setnej potęgi... Gdzie jednak te czasy, kiedy słowa do piosenek pisywali prawdziwi poeci? Pamiętam, jak zaraz po wojnie Ministerstwo Kultury i Sztuki organizowało nawet konkursy na teksty, ktoś tam potem dorabiał do tych nagrodzonych tekstów muzykę i w sumie nie było to wcale takie złe...

A swoją drogą bardzo jestem ciekaw, co usłyszymy np. za pięćdziesiąt lat w wieczorze wspomnień? To znaczy, które ze współczesnych piosenek wytrzymała próbie półwiecza, tak jak wytrzymała ją wiele piosenek sprzed II wojny światowej, których i dzisiaj słucha się z przyjemnością?

Niestety, moja ciekawość z przy czyn natury biologicznej nie będzie mogła być zaspokojona, ale jeśli Malgośka Ciociówna 67 lat dożyje, czego jej życzę, będę miał w zaświatach informacje z pierwszej ręki.

PS. I jeszcze jedno: dlaczego te niebrzydkie przecież śpiewające dziewczyny, łącznie z panią Beatą, przekształcają się na scenie w straszdyła, wykrzywiając buzie na wszystkie strony. My i tak się nie boimy!

24 VI. „Tygodnik Powszechny” (nr 26) piórem B. M. donosi, że w Krakowie istnieje literackie pismo mówione „Na głos”. „Ukazały się” już cztery numery. Gdzie? W Klubie Inteligencji Katolickiej na ul. Siennej. „...czytelnicy — pisze B. M. — jak w każdym szanującym się piśmie mają swego ulubieńca: to stały felietonista „Na głos”, Jerzy Pilch, który w znakomitych dowcipnych tekstach ośmiesza zazwyczaj kurioza literackie w rodzaju najnowszych powieści Sokorskiego czy Bratniego...”

Kupiłem kiedyś w Warszawie „Rok w trumnie” Bratniego, bo o tej m. in. książce tu mowa, i znajomi, którzy tej pozycji nie mają, dosłownie wrywają mi ją z rąk. To rzeczywiście kuriozum, ale chyba nie takie kuriozum B. M. miał na myśli...

Myślmy na pewno inaczej!

M. A. Jaworski

## GRATULUJEMY!

Wśród laureatów tegorocznej nagrody „Trybuny Ludu” są: prof. dr Zygmunt Mańkowski, Edward Dziadosz, dyrektor Państwowego Muzeum na Majdanku i Rada Miejska PRON w Puławach. Serdecznie gratulujemy, a szczególnie prof. dr. Zygmuntowi Mańkowskiemu, członkowi Kolegium Redakcyjnego „Kamena”!

stem niechaj będą niedawne wybory Miss Polonia 84 w Sali Kongresowej.

Jak powszechnie wiadomo, była to impreza, która wymyślił dla zysku jeden cwaniak i popętnił taki tylko błąd, że wziął sobie do współpracy i kompanii jeszcze większych cwaniaków, którzy następnie przytopili go w łyżce wody, by zaraz potem obsmarować łyżka dziegciem. No więc ci cwaniacy postanowili swój majątek pomnożyć, angażując na występy pana Janka. Dobry Pietrzak na to przystał, bo myślał, że to będzie zabawa, żart i witz, a do tego to on zawsze jest pierwszy. Kiedy jednak przyszło co do czego: kiedy cwaniacy rozprowadzili pomiędzy ludzi pracy bilety w cenie półtora tysiąca złotych z Pietrzakiem na plakacie, na wabia — okazało się, że nasi wspólni wrogowie występ pana Janka ulemoiliwają. Nie, żeby był jakiś powód, albo żeby pan Janek coś przeszkodził. Nie z tych rzeczy! Pan Janek został odesłany do domu profilaktycznie i dla przykładu. Żeby, broń Boże, nikt sobie nie pomyślał, że jest łatwy. Bo, jak wiadomo, nie jest. W dawnych czasach, kiedy pan Janek występował w knajpie, która trzy razy w tygodniu przeobrażała w salon intelektualny, wysnawo go pod pretekstem braku drogi przeciwpożarowej. Nazajutrz po wygnaniu „Egdy”, knajpa realizowała bez przeszkód program wyszynku i rozbierek paru starszych pań, i nikt się nie przejmował tym, że nadal brak drogi przeciwpożarowej, a pijana klientela może się żywoem sfajcerzy, jakby jakiś pijus dla żartu podpalił firanki.

A w zeszłym roku w Opolu, kiedy jubileuszowy festiwal piosenki miał pan Pietrzak uwłocić swoją obecnością, okazało się niespodziewanie, że spada z drabiny, przybyć nie może i seans terapii społecznej szlag trafił. I tak to już jest z panem Jankiem. Na każdym kroku czyha na niego drabina, po której musi się wspinać, a potem obowiązkowo ma spadać, żeby był wiarygodny pretekst.

Dlatego pozwalam sobie ogłosić taki oto apel: gdybyście Drodzy mieli się okazać spotkać kiedyś z panem Jankiem, a zobaczycie rozstawione drabiny, nie pozwalajcie mu się wspinać. Dla dobra ogólnie dobrze pojętej zdrowości społeczeństwa.

Janusz Atlas

## Życie towarzyskie i uczuciowe

### DRABINA PANA JANKA

**S**ZANUJĄCE się pismo powinno mieć nad tytułową winiętą jakiś slogan. Wychodząca w USA w języku polskim „Gwiazda Północy” ma w nadtytułach cztery slogany. Żeby Polska była Polska... „Gwiazda” szanuje się, nie ma na tyłe, żeby umieścić odrobinkę niżej nazwisko klasa, z którego weny twórczej czerpie, i wabi tym swoich czytelników. Na szczęście my, nad Wisłą i Bugiem, wiemy doskonale, że klasyk nazywa się Jan Pietrzak.

Od razu powiem, że znam bardzo niewiele ludzi, którzy nie lubią Pietrzaka. Tak się zresztą składa, że nie lubią oni także mnie, więc ja ich też nie lubię, i daję im to odczuć. Niejako w zastępstwie pana Janka, który — na to wygląda — lubi wszystkich, a przynajmniej — wszystkim stara się być życzliwy.

Nie mam zamiaru opisywać Szanownemu Państwu, co się dzieje parę razy w tygodniu, w godzinach wieczornych, w holu kawiarenki „Mody Polskiej” przy ulicy Marii Konopnickiej w stolicy, gdzie panu Jankowi razem z odbudowaną z gruzów „Egda” pozwolono się —

zapewne na jakiś czas tylko — przytulić. Albo powiem: dumy skamla o bilety! Tłumy — znaczy wszyscy: i murarze, i tynkarze, i dygnitarze.

Tak się bowiem składa, że przez tzw. ogół Pietrzak jest uwielbiany. Jak rzadko, piszę o tym bez zazdrości, bo po głębokim zastanowieniu muszę przyznać, że Pietrzaka uwielbiać należy. Porzucając na chwilę latwy ton gryzącej ironii, powiem także, że co należy uwielbiać tego Artyste.

Otóż Jan Pietrzak, nie skończony ciew wojskowej sakoty łączności, za to dyplomowany socjolog, jest człowiekiem wielkiej życzliwości. Można powiedzieć, że już bez mała lat dwadzieścia czyni jedynie słuszny użytek ze swego uniwersyteckiego dyplomu. Mianowicie — wstępuje się w otaczających go bliźnich, w społeczeństwo po prostu. Mówi ludziom prostym, a i trochę bardziej skomplikowanym też, co ich gryzie i jak tej zgrzytacie zaradzić. Słowem — leczy. W dodaiku za śmieśnię małe pieniądze. Gdyby leczył za darmo, dziś ci uwielbiający wytkaliby go na ulicy palcami i łąyli najgorszymi słowami. Gdyby ich skubał, gdyby wyciągał im ostatni wdowi grosz, zostałby zniszczony przez domiar, niezależnie od efektów terapii, jaką z tak wielkim powodzeniem stosuje.

Ala Pietrzak wie, że — aby być tym, kim chce, i jest — może postępować tylko tak, jak mu dyktuje rozum i doświadczenie życiowe. Dlatego w pełni zasługuje na miano wzorowego trenera i wychowawcy młodzieży.

Jednakowoż komplementowanie Jana Pietrzaka bez końca jest zajęciem nudnym dla obu stron, a poza tym mało twórczym. Pragnąc przybliżyć te sylwetki Szanownemu Państwu, inne mam zamiary. Chcę oto przeprowadzić dowód prawdy na to, jak trudno być Pietrzakiem. Pretek-

## Maria Skłodowska-Curie

Wiesław Śladkowski, Małgorzata Willaume

**G**DY w 1867 r. przyszła na świat, w społeczeństwie polskim pomatu zabiłzinały się rany zadane mu w czasie insurekcji styczniowej. Swe dojrzałe życie, studentki paryskiej Sorbony, rozpoczęła Skłodowska w latach fin de siècle'u; odeszła, nie poznawszy okrucieństw, które przyniósł Europie i światu rodzący się wówczas faszyzm.

Na postawę i poglądy polskiej uczonej wydatny wpływ wywarła atmosfera rodzinnego domu oraz czasy, w których przyszło jej żyć. Rodzina Skłodowskich, od dwóch pokoleń osiadła w mieście, kultywowała tradycje narodowe. Dziad Marii, Józef, był aktywnym uczestnikiem powstania listopadowego. Również od dwóch pokoleń Skłodowscy poświęcili się pracy nauczycielskiej, a przyłączyła się do nich przedwcześnie zmarła matka Marii — Bronisława. Nauki przyrodnicze królowały w tym domu. Nie pozostało to bez wpływu na intelektualny rozwój Marii. Niezależnie od wiedzy zdobywanej w gimnazjum rządowym, uczyła się w domu.

Jak wiele warszawianek, Skłodowska uczęszczała na wykłady, powstałego wtedy, Uniwersytetu Łatającego. Zbierano się wieczorami słuchając wywodów z zakresu filozofii, socjologii, anatomii i oczywiście historii. W owych latach Maria uwierzyła, że idee pracy organicznej mogą stanowić podstawę budowania postępu społecznego.

Wobec wielkich pytań i problemów swych czasów, rola dwukrotnej laureatki nagrody Nobla najpełniej uwidoczniła się w sferze nauki. Z istoty i tradycji pozytywistycznej oddania się i poświęcenia bez reszty powołaniu naukowemu, wyniki jej najwspanialsze odkrycia, dokonane w jakże trudnych warunkach, w samotnym zmaganiu się z tajemnicami przyrody i materii.

„Jestem z tych — pisała — którzy wiedzą, iż Nauka jest czymś bardzo pięknym. Uczony jest w swoim laboratorium nie tylko technikiem, lecz również dzieckiem, wpatrzonym w zjawiska przyrody, wzruszające jak baśń czarodziejska”

Wraz ze swym mężem, Piotrem Curie, Maria odważnie weszła w tę krainę cudownych baśni. Owocem poszukiwań prowadzonych w tym nieznanym świecie było odkrycie pierwiastków promieniotwórczych. Zamiast opatentować swój wynalazek małżonkowie Curie oddali do publicznego użytku wszelkie szczegóły dotyczące technologii uzyskiwania radu. Rezultaty wieloletnich badań przekazali ludzkości — wyznając zasadę, iż czerpanie zysków z odkrycia środka leczniczego byłoby sprzeczne z duchem nauki.

Szybkie tempo przeobrażeń technologicznych, ogromny wzrost kosztów i nakładów na badania wprowadziły do nich z czasem konieczny mecenat i zasadę zespolowości. M. Skłodowska-Curie organizując Instytut Radowy w Paryżu i stając na jego czele, jako jedna z pierwszych poszła z duchem swych czasów.

W maju 1922 r. polską uczoną mianowano przez Radę Ligi Narodów członkiem Międzynarodowej Komisji Współpracy Intelektualnej. Wkrótce została jej wiceprzewodniczącą. Działając w tej komisji wybitna Polka przyczyniła się do przyspieszenia przemian w ówczesnym życiu naukowym. Będąc gorącym rzecznikiem korzystnej dla rozwoju nauki współpracy międzynarodowej, jako jedna z pierwszych wysunęła ideę opracowania międzynarodowych bibliografii, ustalenia wspólnych symboli i terminów naukowych, międzynarodowych tabel stałych, ujednoczenia formy publikacji, streszczeń i doniesień naukowych. W zmienionych warunkach rozwoju nauki, zajmując stanowisko w pełni realistyczne, opowiedziała się za „prawem własności naukowej”, tj. „autorskim prawem” dla uczonych, zdając sobie sprawę, iż uzyskanie tą drogą środków i fundusze nauka może przeznaczyć dla swego dalszego rozwoju, wykorzystać dla kształcenia jednostek utalentowanych, nie posiadających własnych środków na studia.

Podczas kongresu pisarzy i artystów, który obradował w Madrycie w 1933 r. nad „Przyszłością kultury”, w obliczu głosów podnoszących niebezpieczeństwo jej specjalizacji i standaryzacji, podkreślających „kryzys kultury”, M. Skłodowska-Curie występuje w obronie takich ideałów, jak umiłowanie wiedzy czy widzenie w badaniach naukowych piękna towarzyszącego zgłębianiu tajemnic wszechświata. W tych zmaganiach o rozwój międzynarodowej kultury stale podkreślała konieczność obrony cech i talentów indywidualnych oraz walki o

„rozbrojenie moralne” — o pokój. „Myślę, że współpraca międzynarodowa — mówiła nieco wcześniej — jest zadaniem bardzo ciężkim, które jednak trzeba podjąć choćby kosztem wielu wysiłków i prawdziwego poświęcenia [...]” A jaką rolę miałyby w tym procesie odegrać nauka? Tylko potęga, moc nauki, zdaniem Skłodowskiej, może doprowadzić ludzkość do wyzwolenia.

Nie uciekała jednak od problemów społecznych i politycznych, które niósł ze sobą świat jej współczesny. W sprawach światopoglądowych M. Skłodowska-Curie nie wypowiadała się; wychowana w duchu katolickim przy małżonku zdeklarowanym ateście, była osobą niepraktykującą. W kwestiach społecznych zajmowała pozycję postępową, stając się w młodości „w najczystszy znaczeniu tego słowa — socjalistką”. Nigdy jednak nie związała się z żadną partią polityczną, zajmując typowe dla ówczesnej elity intelektualnej stanowisko liberalne.

Szczególną aktywność społeczną i polityczną rozwinięła M. Skłodowska-Curie w momencie wybuchu I wojny światowej. Stała się w obronie swej ojczyzny z wyboru — republikańskiej Francji.

W krótkim czasie przyczyniła się do lepszego funkcjonowania francuskiej służby sanitarnej. Wprowadziła bowiem do stałego użytku aparaty rentgenowskie. Największym jej sukcesem było zorganizowanie służby radiologicznej. Pierwszy słynny samochód rentgenowski, tzw. petite Curie, rozpoczął służbę już w sierpniu 1914 r. Wkrótce powstało ok. 200 ośrodków radiologicznych. Nadto Skłodowska zmontowała we własnym laboratorium i przekazała armii francuskiej 20 wozów radiologicznych.

M. Skłodowska-Curie była Polką z urodzenia, obywatelką Francji — z wyboru. Na szczególną więc uwagę zasługuje jej stosunek do ojczyzny i rodaków. Nigdy nie przestała interesować się sprawami nurtującymi wówczas Polaków, stale utrzymywała bliskie stosunki z krajem. Gdy w końcu ubiegłego stulecia rozpoczęła studia w Paryżu, w krótkim czasie nawiązała bezpośredni kontakt z działającą tam kolonią polską. Wprowadził ją do tego grona jej szwagier, Kazimierz Dłuski, znany działacz socjalistyczny. Maria brała udział w spotkaniach, podczas których dyskutowano o sprawach narodowych, chodziła na zebrania publiczne, interesując się, tak jak pozostali, polityką. Wkrótce jednak zaniechała tych spotkań, by całą energię skierować na własną pracę.

Posłubiając w 1895 r. Piotra Curie zdecydowała się na pozostanie we Francji. Starala się mimo to jak najczęściej wyjeżdżać do kraju, lub — gdy to było możliwe — mieć przy sobie najbliższych, ojca i rodzeństwo. Rodzina towarzyszyła wszystkim jej sukcesom, a także smutkom.

M. Skłodowska-Curie zawsze była otwarta dla potrzeb ojczyzny. Jedynie w r. 1912 nie mogła w pełni zrealizować skierowanej do niej prośby z kraju. Warszawskie Towarzystwo Naukowe zwróciło się wówczas do słynnej rodaczki, by wróciła do kraju i objęła kierownictwo powstającej w Warszawie Pracowni Radiologicznej. Odmówiła jednak powrotu, mimo przybycia do Paryża delegacji, na której czele stał Henryk Sienkiewicz. Znalazła jednak rozwiązanie kompromisowe: zgodziła się na kierowanie Pracownią, a swym zastępcą wyznaczyła J. K. Danyszę.

Owczesne pokolenie Polaków odzyskanie niepodległości swej ojczyzny uznawało za najważniejszy problem. W chwili wybuchu wojny sprawa ta była już mocno nabrzmiała. Wydaje się, że „marzenie patriotyczne” Skłodowskiej bliskie było realizacji. Tymczasem wtedy, gdy zaborcy Polski starli się z sobą, jej serce przepelniały lęk i nadzieja. „Ziemie nasze zajęli teraz Niemcy. Co pozostanie po ich przejściu?” — pisała w liście do córki Ireny.

Polacy mieszkający we Francji szybko włączyli się w wir wydarzeń. Jeszcze 1 sierpnia 1914 r. zaczął działać tam Komitet Wolontariuszy Polskich, (jego członkiem został m.in. Jan Danysz), którego inicjatorem był Wacław Gąsiorowski. Komitet werbował ochotników polskich do armii francuskiej; jednak postawa rządu francuskiego nie sprzyjała tym posunięciom. Pierwsze przykre doświadczenia rozwiąły się nieco po entuzjastycznym przyjęciu przez francuską opinię znanego manifestu wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza z 14 sierpnia 1914 r. Podyktowane wymogami wojskowymi obietnice rosyjskie o zjednoczeniu i nadaniu autonomii ziemiom polskim były propagowane nad Sekwaną jako akt „wskrzyszający Polskę”.



Rys. Józef Tarłowski

Gdy więc redakcja wpływowego dziennika paryskiego „Le Temps”, na fali ogólnego zainteresowania sprawą polską, zwróciła się do M. Skłodowskiej-Curie o wypowiedź — ta przestała swoje oświadczenie opublikowane w numerze z 17 sierpnia. Z całkiem prostych przyczyn polska uczona nie podzielała nigdy ówczesnej francuskiej rusomanii. Wówczas, gdy Rosja oznajmiła, że po zwycięstwie nad Austrią i Niemcami „odbuduje Polskę pod swoim autorytetem” M. Skłodowska nie miała żadnych wiadomości z kraju; nie wiedziała po czyjej stronie opowiedział się jej brat i szwagier. Z Rosjanami przeciw Austriakom, którzy zagarnęli Polskę? Z Austriakami i legionem, który tworzył Piłsudski przeciw Rosji? Ponieważ dla M. Skłodowskiej nadrzędną sprawą było odzyskanie niepodległości przez Polskę, w oświadczeniu uznała manifest za pierwszy krok prowadzący ku temu celowi, wyrażając nadzieję, iż demokracje zachodnie postępowaniem swym dodadzą otuchy Polakom wierzącym w niepodległość i wolność swej Ojczyzny.

Wobec niejasnej sytuacji międzynarodowej oraz niesprecyzowanej postawy Francji; wobec nie ukrywanych dążeń niepodległościowych Polaków, emigracja we Francji zdezorientowana politycznie, w pierwszych dniach wojny zajęła niejednoznaczne stanowisko. Wiele wyjaśniła wizyta jej przedstawicieli, w przededniu bitwy nad Marną, w ambasadzie rosyjskiej Delegacji, która na rue de Grenelle udała się w składzie: J. Danysz, J. Bagiński, M. Skłodowska-Curie, B. Kozakiewicz i W. Gąsiorowski, przyjął ambasador carski, Izwołski. Pytany o realizację obietnic zawartych w manifestie wielkiego księcia, udzielił nader mglistych i dwuznacznych odpowiedzi, natomiast co do przyszłości Galicji odpowiedział wyraźnie, iż zostanie ona przyłączona do Rosji. Wówczas — jak wspominał Gąsiorowski — „wśród delegatów zaległa cisza śmiertelna”.

W takiej sytuacji, z końcem 1914 r., powstał we Francji Komitet Wolnej Polski, na którego czele stanął sędziwy weteran powstania styczniowego, płk Józef Gałęzowski. Z tą właśnie organizacją M. Skłodowska-Curie podjęła czynną współpracę. Komitet, propagując nad Sekwaną idee niepodległości Polski, popierał linię Piłsudskiego, przeciwstawiał się natomiast działalności Komitetu Narodowego Polskiego z R. Dmowskim na czele. Z inicjatywy, związanego z Polakami, paryskiego dziennikarza E. Privata oraz Komitetu Wolnej Polski w 1916 r. powstała organizacja pod nazwą Ligi Francuskiej dla odbudowy Polski, której prezesem został laureat nagrody Nobla, prof. Charles Richet. Te wszystkie działania bacznie śledziła i uczestniczyła w nich polska uczona. „Żyłam wciąż myślą — czytamy w autobiografii — aczkolwiek mało wierzyłam w jej spełnienie, ażeby doczekać się naprawienia niesprawiedliwości wyrządzonej mojej ojczyźnie [...] marzyłam o zasłużonym odrodzeniu narodu polskiego. Marzenie tak trudne zdawało się do realizacji, a jednocześnie tak mi drogą, urzeczywistniło się wskutek burzy, która rozszalała się nad Europą”. A kiedy już Polska Odrodzona okrzepła po trudach wojennych i powracała do normalnego życia, w liście do Józefa Skłodowskiego Maria pisała: „Oto my „urodzeni w niewoli, okuci w powiciu” oglądamy to odbudowanie naszego kraju, o którym marzyliśmy, myśląc, że może dzieciom naszym los pozwoli chwili tej dożyć”.

Słowa, którymi M. Skłodowska-Curie witała odzyskanie, przez Polskę niepodległości, a także jej postępowanie, świadczą wyraźnie o głębokim patriotyzmie. Nie wygaś on nigdy w jej sercu, mimo iż Francja stała się drugą ojczyzną uczonej. Z powodów tych, jak pisze córka Irena, nie przeżywała duchowego konfliktu, „gdyż między narodem polskim a francuskim istniały od dawna bliskie więzi przyjaźni”.

Maria Skłodowska-Curie swymi epokowymi odkryciami naukowymi zapisała się na zawsze w historii światowej nauki.

# Ulenowskie ryby

Józef Marczuk

ZWIĄZANA z Lublinem przez ponad 60 lat Wanda Papiewska, siostra wybitnego rewolucjonisty i publicysty Jana Hempła, znana jest jako postanka do Krajowej Rady Narodowej oraz zaśluzona działaczka ruchu spółdzielczego w naszym kraju. Na początku 1913 r. brała udział w organizowaniu Spółdzielni Spożywców. Pełniła w niej aż do 1940 r. odpowiedzialne funkcje: przewodniczącej Rady Nadzorczej oraz Wydziału Społeczno-Wychowawczego. Przez 30 lat kierowała Biblioteką LSS. Należała do najwybitniejszych w Polsce kobiet — spółdzielczyń w okresie międzywojennym. Zorganizowała w Lublinie oddział Ligi Obrony Praw Człowieka w 1936 r. Była redaktorem i wydawcą „Kuriera Lubelskiego”, tygodnika PPS-Lewicy w 1915—1916 r., oraz redaktorem „Spółdzielcy Lubelskiego”. Urodziła się w 1893 r. w małym majątku ziemskim rodziców we wsi Horoszczyzna (pow. Biała Podlaska). Po ukończeniu szkoły średniej została buchalterem. Pracę zarobkową rozpoczęła w 1901 r. w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, a z Lublinem związała się na trwałe w 1912 r. Była człowiekiem o rozległej wiedzy i wysokiej kulturze, a zarazem skromnym i wrażliwym na ludzką krzywdę.

Mniej znaną, lecz ciekawą i barwną kartę w biografii Wandy Papiewskiej stanowi jej działalność w Lubelskiej Radzie Miejskiej, prowadzona w latach 1921—26, a więc w okresie powojennej stabilizacji życia społecznego i gospodarczego w mieście. W pracy samorządowej, którą Papiewska rozwijała z ogromnym zaangażowaniem, wykorzystywała bogate już doświadczenie zdobyte wcześniej w ruchu spółdzielczym oraz gruntowną znajomość ludzi, a zwłaszcza problemów i potrzeb lubelskiego środowiska robotniczego. Nawet zagorzali przeciwnicy polityczni Papiewskiej słuchali ze skupieniem jej wystąpień w Radzie Miejskiej w obronie ludności biednej. Wystąpienia te dotyczyły najczęściej problemów podniesienia zdrowotności miasta oraz zwalczania bezrobocia, a także podnosiły sprawę opieki społecznej i upowszechnienia oświaty.

Przez wiele lat przedmiotem najostrożniejszych sporów i nie kończących się dyskusji, a nawet skandali w samorządzie lubelskim była kwestia pożyczki ulenowskiej. Zaciągnięta została ona uchwałą Rady Miejskiej z dnia 11 grudnia 1924 r. u amerykańskiej firmy budowlanej Ulen and Company w Nowym Jorku. Wysoka kwota 2 858 tys. dolarów (1 dolar = 5,18 złote), przyjęta za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, została przeznaczona na wybudowanie podstawowych urządzeń miejskich: wodociągów, kanalizacji, rzeźni i elektrowni, na które stutysięczne miasto nie miało wówczas własnych środków pieniężnych. Inicjatorami pożyczki byli: prezydent miasta Czesław Szczepański oraz wybitny finansista lubelski, ławnik Magistratu, Roman Ślaski.

Warunki, na jakich firma Ulen and Co udzieliła Lublinowi pożyczki, były bardzo uciążliwe. Władze miejskie zobowiązały się do płacenia przez 20

lat 16 miesięcy odsetek w wysokości 8 proc. rocznie. Z przyznanej kwoty Ulen potrącał łącznie 30 proc. za opracowanie projektów inwestycji i prace wstępne oraz z tytułu ewentualnej różnicy kursowej obligacji, co stanowiło 857 400 dolarów. Miasto zobowiązało się ponadto do pokrywania firmie Ulen wysokich kosztów administracyjnych, które sięgały 12 proc. kosztów budowy.

Lewica Rady Miejskiej przeciwna była oddaniu budowy urządzeń komunalnych firmie amerykańskiej, która miała prowadzić je wyłącznie na rachunek samorządu, przy zapewnieniu sobie z góry określonej wysokości zysku. Po rozpoczęciu inwestycji radni lewicy usiłowali zmusić Magistrat i prezydenta miasta Czesława Szczepańskiego do zorganizowania odpowiedniej kontroli nad przebiegiem prac. Najbardziej wnikliwie i konsekwentnie naświetlała sprawę budowy urządzeń komunalnych radna Wanda Papiewska. Jej obszerne wystąpienia w Radzie Miejskiej na temat budowlanych mankamentów, a nawet nadużyć, przez wiele miesięcy publikowała w całości „Ziemia Lubelska”. W prasie zamieszczano również jej artykuły krytykujące firmę Ulen, dzięki którym autorka stała się wówczas bardzo popularna w mieście.

Oto jak Papiewska charakteryzuje później jedno ze swych wystąpień w Radzie Miejskiej na temat budowy inwestycji komunalnych: „W długim, umotywowanym przemówieniu wskazywałam na brak kontroli tych robót ze strony miasta, które postawiło się wobec tej firmy w roli podwładnego. Towarzystwo Ulen and Co występowało w podwójnym charakterze: jako kapitalista, pożyczający pieniądze na inwestycje miejskie i jako firma inwestycje te przeprowadzająca. Całkowity koszt utrzymania biura Towarzystwa Ulen w Lublinie z amerykańskimi pensjami inżynierów i innych zagranicznych specjalistów, wszelkie wydatki reprezentacyjne, nawet podatki dochodowe od amerykańskich pensji, Kasę Chorych na pracowników itd. itd. płaciło miasto. Tylko zarobki robotników były dostosowane do plac miejsowych. Żądałam w imieniu lewicy Rady Miejskiej, aby Magistrat podał do publicznej wiadomości, jakie wydatki i w jakich sumach zapisane są na ciężar miasta. Zwracałam uwagę na niewłaściwe zachowanie się kierownictwa Towarzystwa Ulen w Lublinie. Jego dyrektor Hartigan nie umiał się utrzymać we właściwej roli inżyniera-fachowca, zaangażował się politycznie, związał się z prawicą Rady Miejskiej, tj. ze stronnictwem, które mieniło się „narodowym”, popierał jego interesy, zapewne stronnictwo to w zamian nie widziało błędów, popełnianych w robocie i wysokich kosztów ich prowadzenia. Przemówienie było poparte cyframi i technicznymi danymi. Pamiętam, jak potem w dyskusji radny z Klubu narodowego, Adam Majewski, chcąc zbagatelizować moje wystąpienie, które tej grupie bardzo było nie na rękę — ironicznie w zakończeniu powiedział: »Zdarza się, że małżonkowie przez dłuższe z sobą pożycie [Papiewska była żoną inżyniera — J. M.] upodabniają się do siebie, lecz żeby wiedza techniczna przechodziła z męża na żonę — o tym dotychczas nie słyszałem» (M. Hempel-Papiewska,

„Wspomnienia bezpartyjne”, maszynopis, Lublin 1956)».

Rada Miejska krytykowała prezydenta Szczepańskiego za to, że płacił wysokie rachunki za przejazdy prywatne inż. Hartigana do rodziny w Nowym Jorku. Ten zaś tłumaczył radnym, że rachunki Hartigana są skromne w porównaniu do rachunków płatnych przez Magistrat kielecki za przejazdy inżyniera firmy ulenowskiej do Ameryki wraz z małżonką i pupugą.

Amerykański inżynier Hartigan zachowywał się w Lublinie tak, jak w kraju egzotycznym. Lekceważył uchwały Rady Miejskiej i polecenia prezydenta miasta dotyczące budowy inwestycji komunalnych oraz samowolnie dokonywał zmian w ustalonych planach. Objawiał ponadto wiele upodobań przywiezionych z „dzikiego zachodu”. Jego hobby stanowiło poszukiwanie i łowienie ryb w podmiejskich stawach i jeziorach. Jedną z prób takiego polowu zakończyła się niepowodzeniem i głośnym incydentem opisanym w „Ziemiu Lubelskiej” z dnia 29 czerwca 1927 r. w artykule „Ulenowskie ryby. Bajeczka prawdziwa”. Czytamy w nim: „Obok mostu kolejowego na Kalinowszczyźnie, w pobliżu robót ulenowskich znajduje się chłopskie jezioro, dość głębokie, zamulone do połowy mulem i zarosnięte sitowiem. Zdarzyło się raz pewnego, że ujrzał to jezioro p. Hartigan, dyrektor firmy ulenowskiej i oświadczył: „W tym jeziorze muszą być ryby”. Porozumiał się więc z chłopkami, właścicielami jeziora, i orzekł, że ryby wylapie się tylko przez wypompowanie całego jeziora. Od słowa do czynu niedaleko. Wziął robotników z robót inwestycyjnych, około kilkudziesięciu, kazał wykopać rowy, a że woda nie chciała wystąpić z jeziora, bo było głębokie, to postawił pompy ulenowskie, dostarczył mechaników, robotników i zabrano się do pompowania jeziora. Pracowano tak kilkanaście dni, zużywając wielkie ilości benzyny z firmy ulenowskiej. Nareszcie wodę wypompowano. Ale o zgrozo! W jeziorze żadnych ryb nie znaleziono! Tak brzmiał prawdziwa bajeczka o rybach ulenowskich. Kto więc pokryje koszt tego nieudanego polowania na ryby? Na czyj rachunek zmarnowano tyle czasu, materiału itd. Czy stary Magistrat nie o tej sprawie nie wiedział?”

Incydent z wypompowaniem jeziora przez inżyniera Hartigana, obciążający bezpośrednio kasę miejską, a tym samym mieszkańców płacących wysokie podatki, zdarzył się tuż przed wyborami samorządowymi w Lublinie, przeprowadzonymi w czerwcu 1927 r. Nowa Rada Miejska, w której zwyciężyły ugrupowania robotnicze, wybrała na prezydenta miasta wpływowego polityka PPS, posła na Sejm, Antoniego Pączka, zwolennika silnej władzy wykonawczej. Miał on przeprowadzić „porządek” w Magistracie i w firmie ulenowskiej. Właśnie na jego prezydenckie biurko trafił artykuł pt. „Ulenowskie ryby...”. Zajął się sprawą i zbadał ją osobiście, uznając działalność Hartigana za wysoce szkodliwą dla interesów miasta. Zwrócił się też do centralnych władz państwowych o usunięcie inżyniera z Lublina. W poczynaniach swych znalazł poparcie radnych z Klubu PPS i żydowskiego Klubu „Bundu” w Radzie Miejskiej. Materiały dowodowe o rozmiarach nadużyć Hartigana, obciążających samorząd, dostarczył inżynier budowlany, radny Franciszek Papiewski (mąż Wandy Papiewskiej). Długotrwałe starania prezydenta Pączka w Warszawie dały spodziewane efekty. Inżynier Hartigan odszedł z Lublina. Dopiero wówczas władze miejskie zorganizowały odpowiednią inspekcję prac inwestycyjnych prowadzonych przez Ulen, czemu sprzyjało zresztą łagodne usposobienie następcy Hartigana, inżyniera Dickensona.

Należy podkreślić, że wszystkie urządzenia komunalne firma Ulen and Co przekazała miastu w latach 1928—1929 w stanie niedokończonym. Władze miejskie skutecznie kontynuowały ich budowę, a następnie rozbudowę. Na te cele zostały użyte środki finansowe znacznie przewyższające sumę pożyczki amerykańskiej. Zbudowane nowoczesne urządzenia miejskie (wodociągi, kanalizacja, rzeźnia, elektrownia) radykalnie poprawiły warunki higieniczne i zdrowotne mieszkańców, a szczególnie zaopatrzenie ludności w wodę o odpowiedniej jakości, dostarczyły energii elektrycznej na potrzeby gospodarstw domowych, przemysłu i oświetlenia miasta. Wpłynęły także na lepsze zaopatrzenie rynku mięsnego, obejmującego również eksport.

# Jak zdobyć milion dolarów

TYLE jest wspaniałych książek do przeczytania, że w zasadzie nie wracam do utworów kiedyś już poznanych. Z jednym wyjątkiem. Chodzi oczywiście o klasykę. Czy można na przykład przeczytać „Zalicytowanie” definitywnie Szekspira? Jest to pytanie retoryczne. Dlatego przeczytałem znowu „Panią Bovary”. Powieść tę czytałem kiedyś w dzieciństwie, a więc właściwie nie miałem już teraz o niej zielonego pojęcia.

Niektórzy uważają, że jest to światowy romans numer jeden. Hemingway stwierdził dość obcesowo, że wolałby raczej stracić milion dolarów, niż stracić okazję przeczytania tej powieści. Właściwie to Hemingway powtórzył tylko starą prawdę, że sztuka jest największym skarbem — jako prawdziwy Jankeś oszacował jednak wartość w dolarach. Nieco inny wariant spotkałem w interesującej powieści radzieckiego pisarza: „Cichy Don” jest o wiele ważniejszy dla naszego kraju niż tysiąc transportów drewna” (Władimir Kriwcow, „Szumią dęby, szumią”, Warszawa 1983, s. 118). Ale to tak na marginesie.

Sięgnąłem więc po Flauberta trochę tak, jakbym sięgał w banku po brakujący mi akurat milion dolarów. Nie myślcie, że chciałbym się tu teraz wymądrzać na ten temat. Zresztą co mógłbym ewentualnie napisać? Mógłbym rozłożyć filologiczny warsztat i coś tam podlubić, pogmerać. Mógłbym jeszcze udawać młodego gniewnego i zacząć uczyć Starego Mistrza, jak właściwie należy pisać. Nic więcej nie przyszłoby mi do głowy.

Wiadomo, że „Pani Bovary” była powieścią skandalizującą. Autora oskarżono o nieobyczajność i wyłożono mu proces, dzięki czemu w ciągu dwóch miesięcy sprzedano piętnaście tysięcy egzemplarzy. Dziś Flaubert także zdumiewa i zaskakuje, tylko w inny sposób. Olsniewa nas dalej swoją formą, genialnie pedantycznym opisem świata przedmiotów i świata uczuć. Tak już nie potrafimy pisać. Pani Bovary w nowoczesnej powieści nie wylazłaby z łóżka. A cała miłość odbywałaby się w pustym, wyjąłowym świecie jałowej prozy. W ostatecznym więc rozrachunku możemy powiedzieć, że miłość nie byłaby miłością, a świat światem. Dlatego Flaubert jest dalej pisarzem skandalizującym. Nie tylko on zresztą. Skandaliczna jest cała wielka sztuka przeszłości.

I jeszcze jedna uwaga na marginesie. Często poszczególnych ludzi, a nawet całe generacje (przyjmujemy choćby futurystów) oskarżamy o gwałtowność, bo przeraża ich bogactwo tradycji kulturalnej. Chcieliby zaczynać wszystko na nowo, od ręki i na kolanie. Zapominają tylko o tym, że musieliby przede wszystkim zrobić na nowo to, co już zostało zrobione, między innymi napisać „Panią Bovary”.

Co zatem wynika z tej lektury? Oto jeszcze raz okazuje się, że literatura, sztuka, cała tradycja jest wciąż nieprzebytą dżunglą, w której możemy zagubić się i zatracić, a jednocześnie odnaleźć siebie. I to jest właśnie najwspanialsze. Nagle odnajdujemy się, identyfikujemy się w osobach dziesiętnastowiecznych, prowincjonalnych mydlików. Flaubert powiedział „Pani Bovary to ja”. Może to dziś powtórzyć każdy zakochany, cierpiący. Dlatego właśnie Hemingway miał rację. Komu więc potrzeba na gwałt dolarów, i to w milionach, niech wybierze się do najbliższej biblioteki.

**Z** IDEA budowy Świątyni Pokoju — wielo-wyznaniowej, ekumenicznej świątyni dla wszystkich — zaplanowana została niedawno na konferencji prasowej poświęconej aktualnemu zaawansowaniu prac przygotowawczych do realizacji tego jedyne na świecie sacrum.

Kilkugodzinna dyskusja z inicjatorami tego obiektu, z udziałem przedstawicieli różnych wyznań, poparta materiałem informacyjnym umożliwiła nie tylko dokładny ogląd tej idei od momentu narodzin po stan aktualny. Odsłoniła również rozległą panoramę rozterek doktrynalnych i kulturowych, wątpliwości i spekulacji pozareligijnych, od początku towarzyszących projektowi tego architektonicznego symbolu światowego ruchu ekumenicznego.

Ja także poddałem się fali owych rozważań, a własna refleksja podsuwała mi nowe pytania i niejasności. I jeśli powinnością dziennikarza jest głównie pytać a potem obiektywnie przekazać to, co ma do powiedzenia inni, samemu stojąc w cieniu, to jednak niepowtarzalność tematu uwalnia mnie od zawodowego dyktatu. Bo w końcu ma to być świątynia również dla mnie.

Nieco chronologii. Ta rozdziela się na starania formalno-organizacyjne oraz długotrwałe konsultacje teologów katolickich, protestanckich i prawosławnych oraz przedstawicieli wyznania mojżeszowego, buddystów i islamistów. Zakończyło je przyjęcie wspólnych założeń religijnych i funkcjonalnych świątyni.

Myśl samą rzucił ordynariusz lubelski, biskup Bolesław Pylak, podczas nabożeństwa żałobnego za zmarłych i pomordowanych w obozie koncentracyjnym na Majdanku w dniu 2 listopada 1981 roku. Biskup mówił wówczas o potrzebie wzniesienia kościoła ekumenicznego wielowyznaniowego dla uczczenia pamięci wszystkich ludzi różnych ras, narodowości, religii i światopoglądów, którzy zginęli na Majdanku. Dwa lata później, podczas podobnego nabożeństwa odprawianego u stóp mauzoleum ks. biskup Pylak ponowił swój apel, stwierdzając m.in.: „Pragniemy dopełnić na Majdanku to wszystko, co budzi grozę, a więc mauzoleum, krematorium i pomnik — jakimś akcentem jaśniejszym, żywym, który by świadczył, że dobro zwycięża zło”.

Dalsze etapy tego zamysłu to zgoda władz na budowę świątyni na terenie obozu, rozpisanie i rozstrzygnięcie konkursu architektonicznego, uzyskanie poparcia papieża dla tej idei podczas audycji udzielonej członkowi Komitetu Budowy Świątyni Pokoju — Tadeuszowi Czajce, byłemu więźniowi, wstawionemu brawurową ucieczką kanałami z tego obozu, otwarcie konta budowy oraz podjęcie szeregu innych kroków organizacyjnych.

Równolegle z tymi pracami trwały wspomniane dysputy doktrynalno-teoretyczne z udziałem przedstawicieli wielu religii i wyznań. Płaszczyzną porozumienia — by użyć formuły zgoda święckiej — pozostawały pryncypia światowego ruchu ekumenicznego, zapoczątkowanego w świecie religii katolickiej na ostatnim Soborze Watykańskim i aktywnie kontynuowanego przez pontyfikat Jana Pawła II. W tym kontekście trzeba wspomnieć, iż ruch ten ma znaczenie historyczne daleko przy tym wykraczające poza sferę wiary, o trudnych do ogarnięcia implikacjach na przyszłość. Siła, śmiałość i nowatorstwo współczesnego ekumenizmu tkwi w tym, że wychodzi on poza ramy religii chrześcijańskich, otwiera bowiem ramiona wszystkim bez wyjątku religiom w akcie wiary i pojednania na całej kuli ziemskiej — planecie ludzi.

Jest to gest przejmujący swoim oddaniem, pokorą, a także śmiałością i odwagą. Czy jednak możliwy do spełnienia — jeśli wziąć pod uwagę choćby takie bariery, jak odwieczny i naturalny hermetyzm poszczególnych religii i wyznań, ich mozaikowość historyczną, geograficzną, ich kulturowe, kultowe, a przede wszystkim doktrynalne odrębności i zadawione uprzedzenia?

Istnieje wszakże uniwersalna płaszczyzna owego „porozumienia”. Jest nim imperatyw dobra i nie czynienia zła, instynktowna samowiedza moralna człowieka, a ich odwiecznym wrogiem i zaprzeczeniem — wojna, wszelka przemoc zbrodnicza.

Zatem Świątynia Pokoju to najlepsza do powszechnej akceptacji przez wszystkich ludzi dobrej woli architektoniczna formuła sacrum, miejsca modlitwy wierzących oraz skupienia, zadumy tych, którzy nie wierzą, lub, wedle formuły katolickiej — poszukują.

Majdank to dobre miejsce dla takiego sacrum; chciałoby się rzec — miejsce idealne, gdyby to słowo nie kłóciło się z przerażającą treścią tego miejsca: terenu skondensowanej zbrodni wojennej o rozmiarach ludobójstwa, patologicznego ekstraktu wojny.

Czy Świątynia Pokoju ma służyć „walce o pokój”? Podczas konferencji prasowej ktoś rzucił z sarkazmem: dzieje ludzkości to nie innego jak nieustanna walka o pokój. Wiemy, czym to się zawsze kończy. Prześniemy więc o pokój walcząc, a zasnijemy go budując.

Spory doktrynalne i nie tylko doktrynalne rozgorzały przed dwoma laty już wokół samej nazwy obiektu. Koncepcja budowy obiektu o takim charakterze wyszła z kręgów katolickich, toteż zgodnie z ich nomenklaturą zaproponowano formułę „Kościoła ekumenicznego”. Krytycznie odnieśli się do takiej nazwy przedstawiciele religii, w których obiekty kultu nie znają potęca „kościół”. Zastąpiono je słowem „świątynia”. Lecz i drugi człon: „ekumeniczna” wydawał się mało dynamiczny, nazbyt „wewnątrzreligijny”. Słgnięto w tym momencie po słowo „pokój”, przy którym natychmiast ujawnił się cały jego służebny, upolityczony i nadużyty podtekst. Nie jest to wszakże wina samego słowa „pokój”, które nadal, zawsze i wszędzie stanowi antynomie wojny i jej skutków; słowo — hasło, słowo — klucz, nie posiadające równoważnika o podobnie integrującej sile i uniwersalności.

Tak ostatecznie stanęło na „Świątyni Pokoju”, co nadal nie przekonuje zwolenników innych wersji. Chcą nam godzić wszystkie i proponują „Ekumeniczną Świątynię Pokoju”.

Co w końcu było i pozostanie sprawą drugorzędną.

Nie jest natomiast sprawą drugorzędną konieczność sporostania idei ekumenizmu w jednej budowli, architektonicznej zrównanie wszystkich religii i wyznań. Przed projektantami stał problem nie tylko ściśle konstrukcyjny, to znaczy konieczność stworzenia bryły harmonijnie wtopionej w ponurą monotonię baraków, a jednocześnie odpowiadającej licznym funkcjom kulturowym, wykładającym z ducha poszczególnych religii, a jednocześnie z idei ekumenizmu.

Ta zaś składa się z trzech rozległych płaszczyzn, koniecznych do uwzględnienia w projekcie tak pomyślanego sacrum. Są to: płaszczyzna duchowa, doktrynalna i praktyczna.

W sferze duchowej idzie o modlitwę i pokutę, stanowiące podwójny instrument pojednania, przebaczenia i pokoju. Należy więc stworzyć warunki zarówno dla dużych zgromadzeń, jak też dla spotkań małych grup, które zechcą przebywać wśród współwyznawców ze swoim Bogiem. Niewykluczone są w dalszej przyszłości nawet wspólne nabożeństwa międzyreligijne. Teolodzy katolicy przewidują np. możliwość opracowania kanonu centralnego nabożeństwa ekumenicznego dla wszystkich religii i wyznań, dla całej Polski, dla Europy i świata!

Na płaszczyźnie ekumenizmu doktrynalnego zasadniczą rolę integracyjną spełniają międzyko-

świecie! Może niektórym tak dech w piersi zapiera właśnie to, że nigdzie nikomu nie udało się tak śmiało wyjść naprzeciw idei ekumenizmu?

Ks. prof. Celestyn Napiórkowski, specjalista z dziedziny doktrynalnych dialogów międzykościelnych, podaje, że znane są tylko nieliczne i nieśmiałe próby sakralnego uniwersalizmu. Oto np. na przedmieściach Sztokholmu wzniesiono świątynię o nazwie „Fredens — Kyrka” (Kościół Pokoju), ale jej ekumenizm zamyka się tylko w kręgu religii chrześcijańskich. Zupełnie ezoteryczną, wieloznaczną namiastką takiego sacrum jest tzw. miejsce ciszy w gmachu ONZ. To podłużna sala o powierzchni około 80 metrów, bez okien. Pośrodku znajduje się prostokątna bryła z góry rozświetlona dyskretnym światłem Żydných symboli, całkowita nadreligijność nadkonfesyjność. Może to tylko miejsce surowej kontemplacji dla tych, którzy wiedząc czym jest polityka, czują

# Świątynia wszystkich

Henryk Pajak

cielne dialogi ekumeniczne. Już obecnie jest na świecie kilka grup dialogu między wielkimi rodzinami chrześcijaństwa. W Polsce działa pod tym kątem tzw. Komisja Mieszana powołana przez Episkopat i Polską Radę Ekumeniczną oraz utworzony niedawno Instytut Ekumeniczny na KUL. Z myślą o spotkaniach, seminariach, sympozjach i odczytach przewidziano w Świątyni Pokoju dużą salę konferencyjną oraz kameralne pomieszczenia dla małych grup. Nieodzowne będą też czytelnie, księgozbiory, miejsca wystaw.

W sferze ekumenizmu praktycznego Świątynia Pokoju powinna promieniować inicjatywami społecznymi o charakterze akcyjnym, takimi jak pielęgnowanie cmentarzy prawosławnych, żydowskich i protestanckich, miejsce straceń oraz samego obozu na Majdanku.

Ten ostatni cel wkracza już w dziedzinę przyszłego życia codziennego świątyni. Życie to powinno cechować: otwartość — dostępność dla każdego człowieka; sakralność — wyłączenie z działalności misyjnej na rzecz poszczególnych religii czy wyznań; autonomiczność — wyłączenie z programu zwiedzania obozu.

Warto jeszcze uzupełnić tak nakreślony profil ekumeniczny głównymi założeniami organizacyjnymi. Według nich świątynia ma być zarządzana przez księży katolickich. Funkcję organu nadrzędnego powinna pełnić Rada Świątyni, skupiająca przedstawicieli wyznań oraz Muzeum. Życie codzienne zostanie ujęte w kalendarz uroczystości i nabożeństw obchodzonych przez poszczególne religie i wyznania oraz harmonogram nabożeństw i uroczystości wspólnych, o charakterze ekumenicznym. Świątyni zostanie podporządkowany Dom Pielgrzyma, wzniesiony dla gości odbywających praktyki religijne i uczestniczących w uroczystościach.

Istnieje jeszcze kilka innych propozycji. Te jednak nfech mi będzie wolno nazwać enigmatycznymi, a może wręcz nierealnymi. Oto niektóre: Ośrodek Badań nad Pokołem (?), Rada Otwartych Oczu na Wszelkie Dobre (?), Rada Wiedzy o Człowieku (?) czy Rada Zyciowości (?). Takie zbratanie dusz i idei oraz idealów brzmiałoby romantycznie; co nie udawało się Lidze Narodów lub Organizacji Narodów Zjednoczonych, zapewne pozostanie nieosiągalne dla Świątyni Pokoju, a pisanie tych pięknych idei dużymi literami, ani o krok nie uczyni ich bardziej realnymi.

Tak oto przedstawia się w ogólnym zarysie program zamierzeń Świątyni Pokoju. Jako idea ekumenizmu odbiła już od brzegu projektów, tych czy owych przeszkód i obiekcji, przybrała konkretny kształt architektoniczny (jego twórcami są trzej młodzi architekci z Krakowa Marek Nowicki, Jerzy Wzorek i Edwin Drewniak — ich pracę prezentowaliśmy w „Kamieniu”), uzyskała zgodę władz, a co najważniejsze, usadowiła się w świadomości przedstawicieli społeczności religijnych.

Mimo tak dużego zaawansowania i powszechnej akceptacji, nadal błąka się nad nią nieokreślone odium idei pierworodnej, kontrowersyjnego zamysłu wymierzonego bardziej w przyszłość niż teraźniejszość. Dołącza do nich status czy wręcz piętno inicjatywy lokalnej, a więc w jakimś stopniu uzurpatorskiej, a wreszcie zarzut pomnikomanii, fasadowości.

Może to jakiś koń trojański nowoczesnego laikatów? Lub kleru? Albo jeszcze jedna tuba propagandowa obrońców pokoju?

Możliwe, że u podstaw tych pytań i obiekcji błąka się cień tradycjonalizmu w nie najlepszym jego znaczeniu, lub dla odmiany całkiem konkretne doświadczenia społeczności narodowych i religijnych w ich dążeniu do spełnienia prawdziwego sensu tak straszliwie sponiewieranych słów jak: pokój, porozumienie, pojednanie, przebaczenie? Nawet podczas samej konferencji prasowej nie obyło się bez dwuznaczności. Nie przybyli na nią dziennikarze zagraniczni — nie pojawili się ani jeden! Dlaczego? Wszak organizatorzy konferencji wysłali zaproszenie do Interpressu, który, wedle obowiązującej praktyki, powinien zawiadomić obecnych tłumaczy. Kto zawiadom? Tak czy owak całkowita ich nieobecność przy padkuwa być nie może. Może to wina nie istniejącej jeszcze Świątyni Pokoju? No bo jakże: pierwsza w

potrzebę dokonywania okresowego katharsis?

Nie mają też wiele wspólnego z ideą Świątyni Pokoju liczne na świecie przykłady udostępniania świątyni chrześcijańskim wyznaniom biedniejszym, których po prostu nie stać na własne. W Polsce również znane są tego przykłady: w diecezji opolskiej ks. bp Nossol polecił proboszczom udostępniać świątynie katolickie protestantom, zwłaszcza luteranom.

Tymczasem Świątynia Pokoju to sacrum nie tylko wszystkich religii, lecz także niewierzących, „poszukujących”. Uwzględnienie dla nich miejsca w Świątyni stało się zresztą okazją do dodatkowych kontrowersji. Cóż po nich w Świątyni — pytają niektórzy oponenci — po ateistach, „poszukujących” czy jawnych prześmiewcach? Czy duch ekumenizmu nie szybuje w życiową abstrakcję?

Teolodzy odpowiadają na to z nieznanym spokojem: ekumenizm pochodzi z greckiego „oikoumene”, co znaczy dosłownie — świat zaludniony. Dotyczy więc ludzi. Wszystkich bez wyjątku. Wyłączyć z nich niewierzących, znaczący by zubożyć ekumenizm, do starych barier dostawić nowe. Świątynia Pokoju — argumentują jej zwolennicy — powinna służyć modlitwie wierzących i zadumie niewierzących nad sensem ludzkiej egzystencji. Tego rodzaju zaduma nie jest ani przywilejem, ani specjalnością wierzących. Jest darem i powinnością wszystkich...

W 40 rocznicę hekatombi Żydów na Majdanku, w mauzoleum odbyła się Msza św. pod przewodnictwem biskupa Pylaka. Przy ołtarzu modlili się chrześcijanie, żydzi, muzułmanie, buddyści. Potem katolicki biskup i duchowny żydowski padli sobie w objęcia. Na zakończenie uroczystości ks. kanonik Eugeniusz Kościółko powiedział: „Nie do pomyślenia było, żeby przy ołtarzu chrześcijańskim kiedykolwiek stanął żyd, muzułmanin czy buddysta. Niewątpliwie dzisiejsze nabożeństwo przy prochach pomordowanych to wydarzenie bez precedensu. Jest to początek nowego, autentycznego pojednania, wzajemnego zrozumienia się, ponieważ wszyscy jesteśmy zagrożeni, bez względu na wyznanie i przekonania”.

To wszystko prawda. Chciałoby się rzec — święta prawda. Lecz równie przejmującą prawdą jest to, że zawsze jak ludzkość istnieje jedynym architektem pokoju była... wojna. Wojny były, są i będą, a świątynie służyły i służyć będą jedynie żalobie, lamentowi i zadumie nad tą przerażającą, niezniszczalną dychotomią natury ludzkiej.

Tego uczyć wieki doświadczenia historii. Niech zatem będzie wolno i mnie zadumać się przed tą również i moją Świątynią Pokoju. Przed nią lub w niej i nieważne, w jakiej jej części — tej dla wierzących, czy tej dla „poszukujących”.

Oto słowa, lub raczej konkluzja tej mojej prywatnej zadumy — modlitwy. Stanowi nią totalny, obezwładniający pesymizm, niezłomna wiara w wojny, w zagładę, w wolę mordu zakodowaną w ludzkiej naturze i międzyludzkich strukturach.

Tym, którzy przetrwają, przybysza oto jeszcze jedna świątynia, miejsce modlitwy i zadumy. Niech sobie będzie. Przeda się z całą pewnością.

**N**IE ingeruje w tekst H. Pajaka, jako że każdy autor wyraża przecież na łamach „Kamienia” własne poglądy, niemniej nasuwała mi się pewne uwagi. **PO PIERWSZE:** nie można tak deprecjonować ruchu obrońców pokoju który w powstającej historii ma niepodważalne osiągnięcia.

**PO DRUGIE:** Interpress mógł zawiadomić zagranicznych dziennikarzy o wspomnianej konferencji prasowej, ale, tak wiadomo, wielu dziennikarzy z krajów zachodnich interesuje raczej nie Świątynia Pokoju, ale to co pokój społeczny w Polsce podważa.

**PO TRZECIE:** obezwładniający pesymizm autora co do przyszłości świata, tego niezłomna wiara w wojny i zagładę, w wolę mordu zakodowaną w ludzkiej naturze etc. jest rzeczywiście tego rodzaju. Takie przesłanie ma. Moja na przykład zaduma, mimo iż zdaje sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw, nie jest tak czarna nie jest. I w tym wypadku wolalbym, abym ją miał raczej również w interesie samego H. Pajaka!

M. A. Jaworski

**G**DYBY Zofia Nalkowska żyła, mogłaby powieść Wiesława Myśliwskiego powitać następująco: „Biograficzny, a często autobiograficzny tryb narracji, staranie, aby koniecznie obdarzyć trwaniem każdy fakt, istotnie w życiu zasły, rozwleka dokładność w ustalaniu jego sensu — powtarzają się [...] i składają na wrażenie, że to, co się opisuje, naprawdę było [...] powolny i nie skonstruowany, ale wzdłuż niewątpliwej rzeczywistości skrupulatnie ułożony bieg akcji, skupiona uwaga w opisie zdarzeń i ludzi oraz ich stosunków — to właśnie teraz znamionuje dobry gatunek powieści, to budzi zaufanie, to

„konspekt” owej epopei w takiej oto deklaracji Wiesława Myśliwskiego, przed laty: „Być Europejczykiem to wcale nie znaczy mieć międzynarodową duszę, oczyszczoną z kompleksów środowiskowych, kulturowych, społecznych. Taki europeizm jest ni-jakością. Rzecz chyba polega na tym, aby nie wy-szywać się tych treści, które kryją się w na-szych kompleksach, tworzyć z nich nowe, ponad-jednostkowe i ponadstanowe wartości; aby z na-szej polskiej większości uczynić europeizm. Tylko że konieczna jest tutaj nie tylko samoświadomość pisarska, ale i szacunek do swojego rodowodu. Tym bardziej, że ta nasza polska większość nie

i grafomańskie zadufania. Autentyczna miała odtąd być tylko dyspozycyjność wobec „europej-skiej” ni-jakości.

Dwanaście lat młodości Wiesława Myśliwskie-go, jako prozaka, zakończyło się „zdradą” nurtu wiejskiego w powieści „Kamień na kamieniu”. Polega ona na tym, że autor swoim i swoich po-staci wiejskich doświadczeniem przydaje znacze-nie inne: narodowe i uniwersalne. Nie ma zresztą innego wyjścia, gdyż z dawnej wsi nie pozostał na-wet kamień na kamieniu nie tylko w sensie pejza-żowo-architektonicznym, ale również w planie oby-czajowym, społecznym, politycznym i moralnym.

# Ballady Szymona Pietruszki

Notatki czytelnika powieści „Kamień na kamieniu”

Stanisław Stanuch

właśnie [...] zagarnia największe talenty [...] Cza-rem tych pedantycznych monografii, ich swoistą upajającą poezją jest właśnie to, co nazwałabym patosem autentyczności...” (Z. Nalkowska: Widznie bliskie i dalekie, Warszawa 1957, s. 46—50).

Nieprzypadkowo powołuję się tutaj na znako-mitą pisarską, gdyż nowa książka Wiesława My-sliwskiego nie językiem i stylistyką poezji, jak u Tadeusza Nowaka, nie retoryką jak u Kawalca, ale środkami powieściowymi opowiada o współczesnym świecie. Jest „Kamień na kamieniu” po raz pierwszy od jakże długiego czasu po prostu po-wieścią. I niczym więcej. To, co wydawało się już — umarło, zginęło w magmie poetycko-re-to-ryczno-eseistycznych rojeń, pod tchnieniem auten-tycznego talentu prozatorskiego ożyło i stanowi ga-tunek odrębny od dotychczasowych, nowy. Tylko w tym sensie rozumieć można zachwyty jakimi pierwodruk „Kamienia na kamieniu” w „Twór-czości” opatrzyli Jerzy Lisowski i Henryk Bereza. Zapewne, czy mamy do czynienia z arcydziełem, czy „tylko” z wybitną powieścią — pokaże czas. Falszywie zabrzmiały mi jednak żarciki z dekla-racji dwóch poważnych i znających się na litera-turze ludzi, rozsiadane w dotychczasowych omówie-niach książki Myśliwskiego. Doświadczenie redak-torskie Jerzego Lisowskiego i krytyczne Henry-ka Berezy — to jednak poręka poważna, której nie powinniśmy lekceważyć, choćbyśmy nie wiem jak bardzo różnili się z nimi w poglądach na litera-turę.

A więc nazwisko Zofii Nalkowskiej, znakomitej znawczyni problemów powieści polskiej, padło tu-taj nieprzypadkowo, gdyż ona jedna nie wahałaby się ni chwili, aby przyklasnąć pojawieniu się po-wieści „Kamień na kamieniu”, która literaturę polską wraca jej samej; tylko ona dostrzegłaby

jest wcale ani uboga, ani prymitywna, jak się to niektórym zdaje. Jest tylko wciąż jeszcze nie do-oceniana, nie rozpoznana jako źródło inspiracji ar-tystycznych i nawet moralnych; jako jedna z szans literatury narodowej...” („Rodowody”, opracowanie Jacek Kajtoch, Jerzy Skórnicki, Iskry, Warsza-wa 1974, s. 266).

Te zdania wypowiedziane w rozmowie z Rochem Sulimą w 1972 roku, gdy „Kamień na kamieniu” był prawdopodobnie jeszcze w załączku (autor mi-lczał przecież jako prozaik przez dwanaście lat), świadczą zarówno o niespotykanej w naszej pro-zie zbyt często samoświadomości, jak i chęci zdys-lansowania się od ciasnej etykiety „nurtu wiej-skiego”, która nie już nie znaczy, czyli prowadzi donikąd. Bowiem podstawowym pytaniem współ-czesnych Polaków i współczesnej literatury pol-skiej jest pytanie o tożsamość. Jak znaleźć ową odpowiedź najprecyzyjniej określił Krzysztof No-wicki: „Trzeba zabiegać o dotarcie do niepowtar-zalnej koncepcji własnej obecności, zbadać eha-akter naturalnych i urojonych związków oraz przedziałów...” („Rodowody...” s. 312—313).

Czytając dzisiaj deklaracje i próby artystyczne zawarte w „Rodowodach” Jacka Kajtocha i Je-rzego Skórnickiego, można się przekonać w jak niebezpiecznym kierunku próbowały skierować li-teraturę młodych koncepcje zawarte w tomach „Świat nieprzedstawiony”, czy „Nieufni i zadu-fani”, a przecież zwolennicy i realizatorzy tych drobnomieszczańskich teorii wyparli w połowie lat siedemdziesiątych i zagłuszyli grupę twórców po-szukiujących autentycznych wartości literackich. Wśród nich również prozę Wiesława Myśliwskie-go. Podstawę poszukiwania próbowano zastąpić nowym schematyzmem zrodzonym z nietolerancji

Nic również nie pozostało z chłopskości bohatera powieści poza czysto zewnętrznymi atrybutami. Czy przypadkiem nie stąd wzięło się i nazwisko owego bohatera — Szymon Pietruszka — gdyż powiada przysłowie, że ktoś czy coś jest „ni z gruszki, ni z pietruszki”, a więc ni stąd ni zo-wąd?

Na tych gruzach, mimo wszystko, wre praca, kotłuje się ludzki lud. Jedni budują betonowe bunkry mieszkalne, z garażami i „produkcją rol-ną”, które tak gruntownie „zeuropeizowały” wieś polską, że zatraciła już prawie swoją duszę. Inni — jak Szymek Pietruszka — wnoszą okazałe gro-bowce mające świadczyć, w swojej absurdalności, że nie wypadło się sroce spod ogona, jeszcze inni przystosowują się i starają żyć „po nowemu”.

Kim jest Szymon Pietruszka, to pytanie podsta-wowe przy rozważaniach o nowej powieści Wie-sława Myśliwskiego, bowiem nie w tkance opisow-nej, ale w konstrukcji losu ludzkiego tkwi prze-słanie kierowane przez autora do czytelników. W klęskach i niepowodzeniach tej postaci, w nie-możności zrealizowania się szukać trzeba źródeł pesymizmu autora w jego poglądach na wieś współczesną. A zamysł Myśliwskiego był najmień-szy ze śmiałych: osadzić naturę Janosika i Szeli (tych antenatów chłopskich) w rzeczywistości rak-iet i czołgów, samolotów i broni automatycznej, mechanizacji produkcji i mechanizacji moralności. Jak może zachowywać się ów Janosik dzisiaj, czy potrafi utrzymać się przy życiu, a nade wszyst-ko, czy jest w stanie zachować postawę bohater-ską? To oczywiście pytania retoryczne, ale bardzo istotne, gdyż ujawniające uchwalność zamysłu, ja-ki podjął autor powieści „Kamień na kamieniu”. Jest to więc powieść, która chciałaby być epope-

## SPEKTAKL

Krzysztof Stankiewicz

**S**ALA teatralna była mała i bardzo przytulna. Bogaetwo detali architektonicznych podkreślało słabe światło sączące się z dziesiątek małych żarówek zawieszonych na pięknym, starym ży-randolu. Tył sali zamykały duże drzwi w marmurowych ramach. Od frontu zwisała ciężka, brązowa kurtyna z długimi frędzlami.

Spektakl miał się rozpocząć łąda chwila. Na salę wchodzili jeszcze wid-zowie, by zająć ostatnie wolne miej-sca w ciężkich czerwonych fotelach. Przez te wielkie drzwi wkraczała wła-śnie spiesząca szkolna wycieczka. O-koło sześćdziesiąt dziewcząt w bia-łych bluzkach i granatowych spód-nicach zajmowało miejsca. Jakaś star-sza pani w prawej łozie, usytuowanej najbliżej sceny, lornetkowała salę. Nie wiadomo zresztą dlaczego, bo cała widownia wzdłuż i wszerz mierzyła może 20 metrów.

W czwartym rzędzie, z lewej stro-ny przejścia, prowadzącego wzdłuż całej widowni, siedział Andrzej. Nie obchodziła go jednak ani piękna sa-la, ani kopa dziewcząt z wycieczki. Wpatrywał się w siedzącą obok Ewę. Piękną, czarnowłosą dziewczynę, którą

znał już tyle lat, ale pochłonęły wiel-ką, czystą i piękną miłością wciąż był zachwycony jej subtelną urodą, du-mą, inteligencją. Zadziwiała go i za-ehwycała codziennie w domu, na spa-cerze, w teatrze. Poznał ją przed sie-dmiu laty. Było to w końcu wrześ-nia, piękną, złotą jesienią. Poznał ją w tym właśnie teatrze i chyba dlate-go tak bardzo lubił przez te wszyst-kie lata przychodzić tutaj razem.

Ewa spojrzała na Andrzeja i na-tknęła się na wpatrzony w siebie o-czy. Uśmiechnęła się. On też. Nie zważając na otaczających ich wo-kół ludzi, chciał pocałować ją w poli-czek, ale przechyliła twarz tak, że musnął ją w usta. Zrobił to z taką sa-mą radością, jak wtedy, tamtej jesie-ni, gdy po raz pierwszy, dokładnie w pierwszą rocznicę poznania, pocało-wał się w cieniu parkowej alei. Ze skromnego studenckiego stypendium kupił jej wówczas pięćdziesiąt czer-wonych róż. Pamięta, jak bardzo ją to zażenowało. Nie wiedziała, co ma począć. Wzięła więc kwinty, ucało-wała je i nie powiedziała ani słowa.

Zamyślenie Andrzeja przerwał ci-chy gong. Zawieszony u sufitu żyran-dol przygasał i jednocześnie zapaliły się zainstalowane na rampie jupite-ry. Delikatny, czerwono-fioletowy brząsk oświetlił kurtynę. Zasłona po-

woli zaczęła unosić się w górę. Zob-a-czył scenerię przypominającą rozle-głą łąkę o zachodzie słońca. Gdzieś na ost-tnim planie sceny widniały namal-owane wysokie drzewa. Wysmukłe, zielone topole. Takie same. Takie sa-me, pod którymi tamtego pamiętne-go upalnego lata poprosił Ewę, klęcząc u jej kolan, by pozwoliła mu żyć da-lej i została na zawsze jego ukochaną żoną. Zachodzące słońce podkreślało dramaturgię chwili. Z biciem serca o-czekiwał na jej reakcję, ale odpowie-dzi nie było. Pamięta, jak Ewa, jak-by po chwili zastanowienia, co ma zrobić, również ulekła. Wówczas spot-kały się ich spojrzenia. Nic nie mó-wiąc pocałowała go w prawy policzek, potem w lewy, w czoło, w rękę, jed-ną, drugą i przytaknęła głową. A z jej oczu pociekły łzy. Była szczęśliwa.

Andrzej spojrzał na scenę. Dostrzegł aktorów, słyszał wydobywającą się zza kulis muzykę, ale przede wszyst-kim widział te topole. Rozgrywającą się akcję dostrzegał jakby na drugim planie. Dopiero po dobrym kwadran-sie opamiętał się. Byli przecież w te-atrze.

Na scenie paliło się, ułożone z pni drewna i czerwonej żarówki, ognisko. Wokół siedzieli pasterze. Obok stała prawdziwa krowa. Aktorzy rozmawia-li o tym, jak nudne jest życie na wsi. Jeden z pasterców wspominał, że by-łoby dobrze, gdyby tak w ich wsi wy-lądował jakiś statek kosmiczny. Czytał kiedyś w gazecie o UFO. Czemu nie miałby jeden z takich cudów wy-lądować u nich? Zrobiliby wtedy wiel-ką zabawę w remizie i od razu w ca-łej wsi byłoby wesele. Pozostali chlop-cy zakrzyknęli go jednak, że te wszy-ście UFO to tylko wymysły i jeśli

coś ma tam w górze być, to niebo i aniołowie, a nie jakieś zielone ludki i że w żadnych kosmitów nie wierzą.

— Głupie — szepnął Andrzej do u-cha Ewy. Znowu nie nie odpowiedzia-ła, tylko odwróciła głowę i jeszcze głębiej zajrzała w jego oczy. Dopie-ro po chwili usłyszał:

— Mój drogi, ważny jesteś tylko ty. Powtórzę ci to jeszcze w domu, gdy będziemy już tylko sami.

Na scenie nagle coś zawirowało. Gwałtownie zmieniły się światła. Głośna muzyka rozdarła ciszę. Akto-rzy padli na twarze. Z góry opadł na scenę wielki pojemnik — UFO. Z kosmicznego statku zaczęli wysiadać kosmici. Teraz akcja spektaklu rozwi-jała się szybko. Aktorzy w zielonych kombinizonach zaczęli terroryzować aktorów—pasterców. Nie próbowali porozumieć się z nimi, czy dokonywać jakiegokolwiek badań. Byli wojowniczy. Bardzo agresywni. Billi pasterzy, po-wiązali im ręce i nogi. Nawet krowie oberwał się nie jeden raz, zadany dłu-gim bykowiec. Był brutalni i nie-wiarygodni. A raczej to akcja spek-taklu zaczęła rozwijać się niewiarygo-dnie. Po skrzepowaniu, zbitcu i sponie-wieraniu pasterców, kosmici zaczęli dobierać się do publiczności. Starszy mężczyzna w pierwszym rzędzie nie-spodziewanie dostał w policzek, sie-dzącej obok pani agresywny aktor po-targał fryzurę. Inny napastnik usiadł młodej dziewczynie na kolanach i za-czął powoli rozpinać jej bluzkę. Ak-torzy posuwali się w głąb sali. I po-czynali sobie coraz śmielej: zaczęli u-bliżać widzom. Nikt już nie wiedział: czy takie ich zachowanie przewidywał scenariusz, czy też może to niezwy-kle, koszarne widowisko było wy-mysłem rozwydrzonych aktorów?



# Bałtyk nie Kuwejt, ale...

Dokończenie ze str. 1

EN odwieczny sposób pozyskiwania bursztynu opierał się na biernym oczekiwaniu na to, co wstrząsane sztormami morze samo zechce wyrzucić na brzeg. Oczywiście, zdarzało i dawniej, że aktywniejsi poszukiwacze złocistych grudek brodzili po morzu z siatką na długim drążku, a nawet sięgali po nie z łódek, ale były to sporadyczne raczej przypadki. Wszystko, co w ten sposób się uzyskuje, stanowi zaledwie mikroskopijny ułamek tego bogactwa, które znajduje się na dnie Bałtyku i pod jego dnem, a także w ziemi naszego wybrzeża. Czy nie można zatem, nie czekając na ofiary morza, sięgnąć dalej i głębiej po jego bogactwa?

Można i trzeba. Można, bo pozwalają na to środki techniczne, dostępne nawet w naszych polskich warunkach. Trzeba, bo spółdzielnia rękodzieła artystycznego „Bursztyn” w Gdańsku-Wrzeszczu, przerabiająca w ciągu roku 2000—2500 kg tego surowca i eksportująca swe wyroby na dolarowe rynki, może co najmniej dwukrotnie zwiększyć produkcję. To samo dotyczy prywatnych zakładów bursztyniarskich na wybrzeżu. Niestety, zamiast zwiększać raz po raz muszą one ograniczać swą działalność wytwórczą z braku surowca. A że wykopać można wiele bursztynu świadczy przykład wznoszenia przedwojennej Gdyni czy niedawnej budowy Portu Północnego. Prowadzone wówczas na dużą skalę prace ziemne i refulacyjne udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że nadmorski piasek obfituje w ten minerał. Jego poszukiwacze najpierw buszowali po wykopach i terenach refulowanych, zbierając po 20—30 kg bursztynu dziennie. Potem zaś, gdy roboty zakończono, wzięli się za samodzielną działalność „górnictwą”, wypłukując złociste kamienie z ziemi w Stogach, Wiśloujściu i Górkach Zachodnich przy pomocy silnych pomp wodnych, wskutek czego ich efektywna wydajność wzrosła do 100—200 kg dziennie.

Mimo upływu czasu i wystąpienia wielu perturbacji w tym rzemieślniczym sposobie wydobywania bursztynu, sprawa jest nadal otwarta. Bursztyn wydobywać trzeba metodą przemysłową, z pomocą kopalni pływających i lądowych. Do akcji przystąpili geolodzy, odkrywając w rejonie Chłapowa u nasady Półwyspu Helskiego, zalegające pięciometrową warstwę złoża bursztynu w tzw. niebieskiej ziemi czyli zabarwionych na ten kolor fłów z okresu trzeciorzędu. Pech jednak sprawia, że złoża te zalegają na głębokości stu metrów pod ziemią. W tej sytuacji geolodzy „atakują” dalsze tereny, głównie Mierzeję Wiślaną, gdzie skupiska bursztynu występują w rejonie Swibna, Jantar i Jelitkowa. Odkryto również koncentrację bursztynu w okolicach Jeziora Zarnowieckiego i Słupska.

## Pływająca kopalnia kruszywa

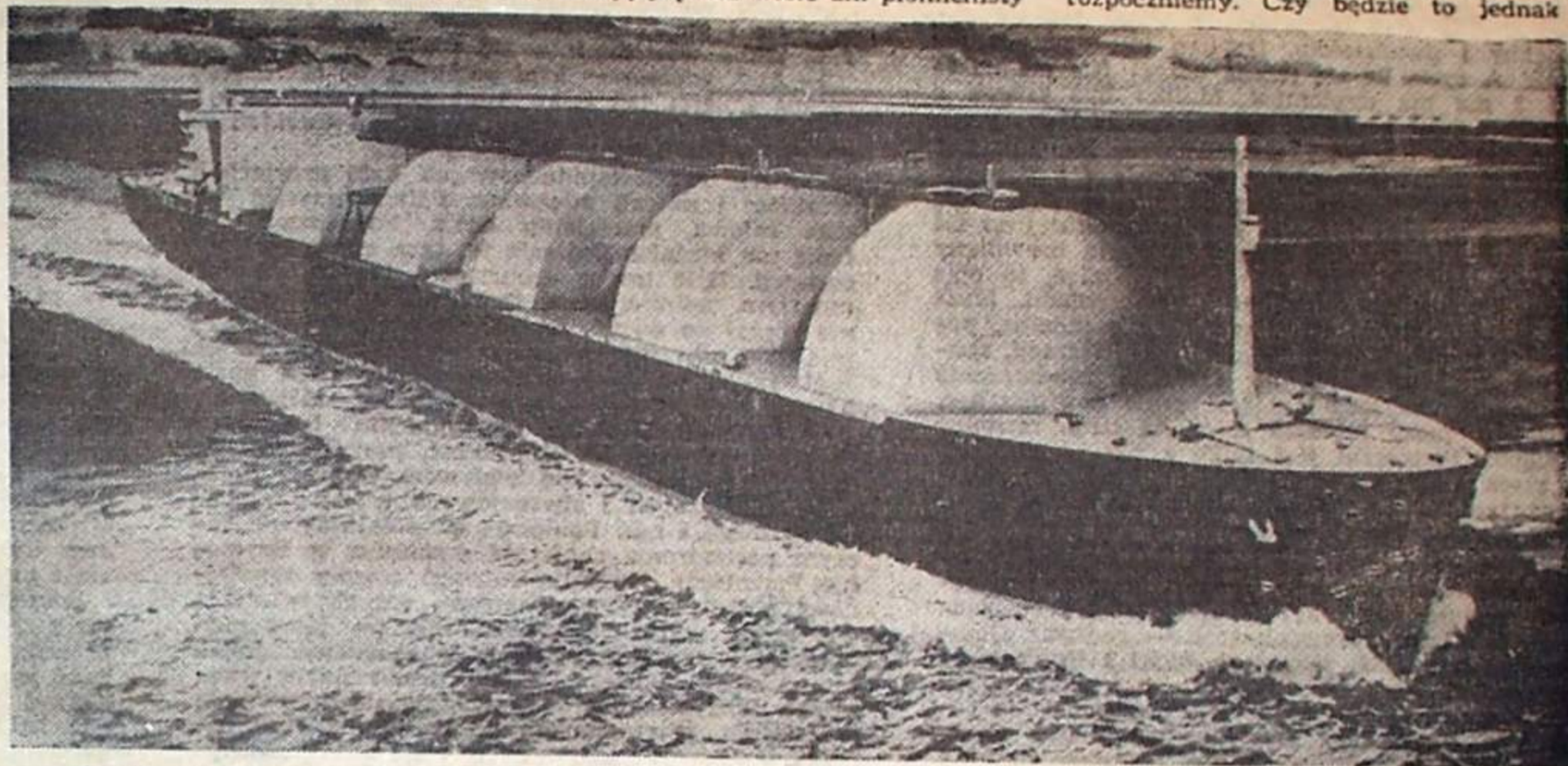
Surowców wartych wydobywania Bałtyk posiada znacznie więcej, choć nasze morze jest wyjątkowo młode (10 000—12 000 lat), stosunkowo płytkie (do 459 m głębokości) i małe (nie wiele przeciętnie większe od obszaru Polski). Do roku '960 jego bogactwa mineralne nikogo właściwie nie interesowały. Badania z lat sześćdziesiątych pozwoliły jednak Instytutowi Geologicznemu na opracowanie mapy Ławicy Słupskiej i Ławicy Odrzańskiej, na których odkryto zasobne złoża kruszywa budowlanego. Szczególnie bogate okazały się one w pobliżu Słupska, gdzie na głębokości 14—16 metrów zalega kruszywo w warstwie o grubości 2—5 metrów. Wielkość tych zasobów oszacowano na 25 mln ton. Jednocześnie zlokalizowano pokłady na większej głębokości, zawierające ok. 100 mln ton tego surowca.

Po dalszych badaniach Centralny Urząd Geologii zezwolił z dniem 8 kwietnia 1978 roku na eksploatację tych zasobów w ilości pół miliona ton rocznie. Gdańskie przedsiębiorstwo „Kruszgeo” wysłało na wody Ławicy Słupskiej czerpakową pogłębnicę „Stanisław Łęgowski” która od tego czasu co roku wydobywa 200—300 tys. ton żwiru.

— Urobek z morza — twierdzi nie bez zadowolenia dyrektor „Kruszgeo”

inż. Wincenty Pontus — jest dwukrotnie wydajniejszy od urobku z lądu. O ile lądowy daje w efekcie 30 proc. czystego kruszywa, morski przynosi 60 proc. Mało tego — jest to kruszywo najwyższej jakości. Powiem nawet dosadnie: najgorszy żwir z Ławicy Słupskiej jest nieporównywalnie lepszy od najlepszego żwiru z lądowych kopalni województw gdańskiego i elbląskiego!

W ten oto sposób Polska weszła do grona ponad 40 krajów świata, praktycznie eksploatujących już podmorskie złoża mineralne. Od żeglugi i rybołówstwa, a więc tradycyjnego sposobu wykorzystania morza, przeszliśmy do etapu eksploatacji jego naturalnych zasobów, znajdujących się na dnie i pod jego dnem. Oczywiście jest to dopiero skromny początek. Mając bowiem na uwadze dalsze zwiększenie wydobywania kruszywa z morskiego dna, w Stoczni Im. A. Warskiego opracowano projekt specjalnie do tego celu przystosowanej jednostki wydobywczej, która po napełnieniu swych ładowni nie będzie musiała każdorazowo opuszczać miejsca pracy, lecz posortowany już uro-



Statek do przewozu skroplonych gazów ropopochodnych, którego seryjną budowę podjęła Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

bek przekaże na barki lub szalandy, dostarczające żwir do portu.

— Ewentualne nadwyżki statek składował będzie do swych ładowni — mówi twórca projektu dr inż. Tadeusz Szlangiewicz — i raz w miesiącu wpływał do portu, gdzie nastąpi jego rozładowanie, a także wymiana załogi, pobranie paliwa, wody i żywności oraz dokonanie niezbędnych prac konserwacyjnych. Roczna wydajność całego zestawu wyniesie 1,9 mln ton suchego produktu. Dwa zestawy, dające 3,8 mln ton żwiru rocznie, zapewnią mogą pełne zapotrzebowanie w ten niezbędny surowiec przedsiębiorstw budowlanych wybrzeża.

Warto w tym miejscu dodać, że obok oczywiście korzyści pozyskania żwiru najwyższej jakości, wpłynięcie na uratowanie kilkuset hektarów lasów i pastwisk, pochłanianych corocznie w pasie naszego wybrzeża przez intensywnie eksploatowane lądowe kopalnie kruszywa, oraz na zwolnienie licznych wagonów i samochodów ciężarowych zaangażowanych obecnie do przewozu kruszywa.

## Jest ropa i gaz

Ale w Bałtyku występuje nie tylko kruszywo, eksploatowane zresztą od lat przez NRD, Danię, RFN i Szwecję. Spodziewać się należy wkrótce wydobywania z dna Bałtyku piasku formierskiego i szklarskiego, a także... ropy naftowej i gazu ziemnego. Już bowiem na początku lat sześćdziesiątych natknęli się na ropę w pobliżu Kilonii geolodzy RFN. Po wznowieniu wiercen w roku 1978 ropa wytrysnęła z dwóch odwiertów. Dla odmiany Szwedzi odkryli ropę na Gotlandii i pod morskim dnem na południe od tej wyspy. Duże złoża ropy na wprost Kaliningradu znaleźli z kolei geolodzy radzieccy. Tę wyjątkowej jakości ropę otrzymują już rafinerie Białorusi, a jej nadwyżki przekazywane są do międzynarodowego rurociągu „Przyjaźń”, który — jak powszechnie wiadomo — dostarcza ten surowiec do

Polski, a ponadto zaopatruje w ropę NRD, Węgry i Czechosłowację. Radzieccy geolodzy z pomocą platform wiertniczych prowadzą także badania w rejonie Kłajpedy i Bałtyka. W poszukiwaniu ropy od lat z uporem „dziurawią” również swoje cieśniny Duńczycy.

W tej dziedzinie ma również swoje sukcesy geologia polska. Już w pierwszych latach siedemdziesiątych ropa „strzeliła” w okolicach Międzyzdrojów — na wyspie Wolin i w bezpośrednim sąsiedztwie Kamienia Pomorskiego — na wyspie Chrzęszczewskiej. Potem przyszła kolej na udane odkrycia w rejonie Białogardu i Trzebiatowa, Wysokiej Kamieńskiej i Rekowa, Petrykoz i Blotna. Niewielkie ilości ropy dają odwierty w Żarnowcu i Dęb-kach w woj. gdańskim, ślady ropy znaleziono także w otworze koło Krynicy Morskiej na Mierzei Wiślanej oraz w Unisławiu koło Torunia. Na przełomie lat 1980/81, gdy wiertło sięgnęło głębokości 2776 m dosłownie wybuchła nam ropa w Karlinie, niedaleko Kołobrzegu. Wielka erupcja ropy i gazu oraz bijący przez wiele dni płomienisty

gejzer, dzięki telewizji i szerokim publikacjom prasowym rozpalil nadzieje Polaków na wielką ropę. Gdy jednak po przeszło miesięcznym zmaganiu się z żywiołem pożar ugaszono, emocje opadły, nadzieje wygasły. Stało się bowiem oczywiste, że Kuwejtem ani Teksasem nie jesteśmy i nie będziemy.

Jedno nie ulega wszakże wątpliwości: z południa nad Bałtyk przeniosło się polskie zagłębie naftowe. Już obecnie dziewięć kopalni ropy w województwach: szczecińskim, koszalińskim i gdańskim dostarcza ponad 60 proc. całości ropy wydobywanej w Polsce. Nie jest to wielkość oszalamiająca, jeśli całość rocznego wydobywania wynosi 300 tys. ton przy zapotrzebowaniu wynoszącym 15 mln ton. Każda jednak tona tej ropy oszczędza nam dewizy na jej import. Nie da się też ukryć, że z wielką nadzieją spoglądając zaczęli nasi geolodzy na Bałtyk, gdzie badania sejsmiczne potwierdziły możliwość występowania tak ropy, jak i gazu. Jakimi metodami jednak do tej ropy dotrzeć?

Nafciarze z Kamienia Pomorskiego i Międzyzdrojów zamierzają w oparciu o bazy lądowe sięgnąć świdrami pod dno Bałtyku i Zalewu Szczecińskiego u samych ich brzegów. Drugą z możliwych do zastosowania metod są bezpośrednie wiercenia na pełnym morzu, choć jest to niesłychanie kosztowne w wykonaniu. W praktyce bowiem wiercenia morskie są pięciokrotnie droższe niż lądowe.

Ponieważ ropę na Bałtyku znaleźć chcą również nasi wschodni i zachodni sąsiedzi, postanowiono połączyć wysiłki i finanse, powołując 24 listopada 1975 roku wspólne przedsiębiorstwo pn. Petrobaltic z siedzibą w Gdańsku. Niebawem też kosztem 50 mln dolarów w rotterdamkiej stoczni Verolme zakupiono nowoczesną platformę wiertniczą. W tym czasie Stocznia Im. A. Warskiego w Szczecinie zbudowała dla jej obsługi dwa holowniki zaopatrzeniowe: „Granit” i „Bazalt”. Z

tej właśnie platformy ekipy polsko-enerdowsko-radzieckich nafciarzy 3 maja 1982 roku dowiercili się w okolicy Rozewia do ropy. Przelana do butelki już na pierwszy rzut oka robiła jak najlepsze wrażenie. Z wyglądu przypominała bowiem „łójtą” benzynę, o której nalewaniu do pełnego baku śnią dziś automobilści w całej Polsce. Fachowcy określili nowo odkrytą ropę jako gazolinę, zawierającą najlepsze z najlepszych frakcji tego surowca.

Próbna eksploatacja złoża, badania urobku, dalsze wiercenia i oto latem 1983 roku ukazała się w prasie interesująca informacja Polskiej Agencji Prasowej:

„Jak informuje dyrekcja Petrobalticu, w czasie prowadzonych prac na platformie wiertniczej usytuowanej w odległości 90 km na północ od Rozewia uzyskano przemysłowy przepływ gazu ziemnego z pokładów piaskowca kambru. Jest to już drugie odkrycie w polskim szelfie Morza Bałtyckiego... Rodzi to nadzieje na uzyskanie poważnych złóż ropy”

Oczywiście, dla rozpoczęcia eksploatacji złoża potrzeba wiedzy większej niż jeden udany odwiert, wiele kosztownego sprzętu, większych nakładów finansowych. Wcześniej czy później eksploatację tych złóż z pewnością rozpoczniemy. Czy będzie to jednak

wielka ropa, pokaże seria następnych odwiertów, które osiągną nawet 6000 m poniżej dna.

## Sól potasowa i cyrkon

Wieloletnie badania, prowadzone m. in. z pomocą zbudowanej w Szczecinie sztucznej wyspy „Syrena”, przyczyniły się także do odkrycia pod dnem Zatoki Puckiej dużych złóż soli kamiennej oraz ciągnących się tam kilkunastokilometrowym pasem czterech złóż soli potasowej — niezbędnego dodatku w procesie produkcji nawozów sztucznych. Zakończona niedawno dokumentacja tych złóż, wykonana przez Główny Urząd Geologiczny na podstawie odwiertów z Władysławowa, Chłapowa i Mieroszyna oraz odwiertów morskich, pozwala ocenić zasoby przyszłego zagłębia na 300 mln ton soli wysokiej jakości.

Na zachodnim wybrzeżu, w piaskach Ławicy Odrzańskiej, odkryto z kolei możliwość wydobywania mineralów ciężkich: głównie cyrkonu, rutilu, tytanu i granatu. Na całym zaś polskim szelfie natrafiono na kuliste bryły, zawierające żelazo, mangan i nikiel. Z myślą o przemysłowej eksploatacji tych mineralów (w przyszłości) wyznaczono już kilka rejonów ich koncentracji: Wiselka, Międzyzdroje, Niechorze, Mielno, Darłowo, Jarosławiec Rowy, Jastrzębia Góra i Kuźnica. Spore nadzieje wiąże się również z mulami dennymi, które zawierają 50 proc. elementów organicznych, dających się zastosować jako użyźniacz gleby pod uprawy rolnicze. Szczególnie duże koncentracje mulów i korzystne warunki jego wydobywania stwierdzono na Zalewie Wiślanym.

Nie jest zatem Bałtyk ubogim krewnym Morza Północnego, Morza Czarnego czy Morza Kaspijskiego bogatych w ropę i inne minerały. Mając na nim własną „dziurkę” licząc możemy na niejedno jeszcze odkrycie, które z pewnością wzbogaci surowcami naszą bazę naszego przemysłu. W-b-ci nas wszystkich.

Henryk Mąka



Nakładem Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie ukazała się książka Karola Popiela pt. „General Sikorski w mojej pamięci”. Karol Popiel był po wybuchu II wojny światowej członkiem rządu RP, w którym funkcję premiera sprawował gen. Władysław Sikorski (4 lipca br. mija 41 rocznica jego tragicznej śmierci w Gibraltarze).

Ze wspomnianej książki przedrukujemy fragment, w którym jest mowa o próbie zamachu na życie gen. Sikorskiego w trakcie jego lotu do USA w marcu 1942 r.

**D**RUGA wizyta Sikorskiego w Stanach i Kanadzie obliczona była na stosunkowo krótki okres czasu, bo trwać miała zaledwie dwa tygodnie. Tym razem względy bezpieczeństwa zadecydowały, iż wybrano drogę powietrzną. Odlot nastąpił ze Szkocji 21 marca 1942 r.

Na temat dramatycznego przebiegu tej podróży istnieje szereg relacji, wśród których za najbardziej źródłowe i zarazem miarodajne z uwagi na służbowy charakter autora trzeba uznać sprawozdanie szefa II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza, płk. Leona Mitkiewicza [...]

W skład towarzyszącej gen. Sikorskiemu ekipy wchodził poza płk. Mitkiewiczem jeszcze dwaj oficerowie: ppłk Michał Protasewicz, oficer inżynierii, oraz ppłk lotnictwa Bohdan Kleczyński, świeżo mianowany attaché lotnictwa w Waszyngtonie, ponadto członek Rady Narodowej ks. prałat Zygmunt Kaczyński i, jak zwykle, dr Józef Retinger. Cztery dni spędził on w porcie lotniczym Prestwick, czekając na odpowiednie warunki atmosferyczne. Mitkiewicz, który dotąd nie znał Kleczyńskiego, a słyszał wiele o jego doskonałym stażu służbowym, obserwuje go pilnie i notuje w swym dziurku, że robi on wrażenie człowieka, któremu coś dolega; jest bardzo blady i ma spojrzenie dość dziwne, czasami wprost niesamowite. Poza tym trzyma się z dala od reszty towarzystwa, rzadko wychodzi ze swego pokoju podobno z powodu chorej nogi, nawet posiłki jada u siebie.

W samolocie Kleczyńskiemu wypadło miejsce na dole obok ks. Kaczyńskiego. W piątej godzinie lotu o świcie — pisze Mitkiewicz, którego miejsce znajduje się na górze samolotu — wylazi ppłk Kleczyński i trzymając jedną rękę w kieszeni kombinezonu, przechodzi na tył samolotu do ubikacji.

Gdy mija mnie — notuje dalej — mam wrażenie, że jest chory, że cierpi na chorobę powietrzną (wymioty), był blady jak płótno. Po paru minutach chciałem pójść do niego, ale nie ryzykuję bez maski tlenowej, którą trzeba by wyłączyć; jestem nieprzyzwyczajony do lotów na dużych wysokościach, boję się, że nie dojdę. Płk Kleczyński siedział w ubikacji około trzech kwadransów. Niepokoiłem się o niego bardzo, ale ponieważ nie było słychać żadnych gwałtownych odgłosów, po prostu sądziłem, że uwalnia się od skutków choroby powietrznej. Wreszcie Kleczyński wyszedł z ubikacji i powrócił na swoje dawne miejsce. Miał jakby lepszą minę.

Po osiemnastu i pół godzinach samolot ląduje wreszcie w Montrealu. Jeszcze tylko ceremonia urzędowego powitania i pasażerowie mogą wreszcie odpocząć. W hotelu, w którym zamieszkali, nim Mitkiewicz zdążył położyć się spać, otrzymuje od Kleczyńskiego telefon z prośbą o przyjęcie go w bardzo ważnej sprawie.

Streszczam w dalszym ciągu relacje Mitkiewicza z jego dziurku. Kleczyński przynosi ze sobą paczkę zawiniętą w gazetę. Bez żadnych wstępów, bez żadnego zdenierowania, zupełnie spokojnym tonem melduje Mitkiewiczowi, że ten przedmiot znalazł w samolocie. Zaskoczony tym Mitkiewicz, który pierwszy raz widzi podobny przedmiot, zapytuje, co to jest i dlaczego dopiero teraz zawiadania o tym. Kleczyński w odpowiedzi podaje następujące szczegóły: mniej więcej w czwartej godzinie lotu poczuł pod sobą twardy przedmiot i zarazem posłyszał szczytanie, jakby ułatniającego się gazu lub powietrza pod ciśnieniem. Sięgnął ręką pod materac i znalazł puszkę. Rozzerwał druty, które były z sobą połączone (z baterią) i zastanawiał się, co ma dalej czynić. Zamierzał początkowo otworzyć okno w samolocie i przez nie wyrzucić puszkę. Uznał to jednak za ryzykowne z uwagi na duże zmniejszenie szybkości lotu. Dopiero po jakimś czasie, gdy szczytanie ustalo, poszedł do garderoby i tam czekał póki puszkę nie ostygła, mając zamiar wyrzucić ją potem przez otwór znajdujący się w ustępie. Po godzinie jednak, kiedy puszkę ostygła, powrócił na swoje miejsce i do-

stanowił nie zawiadamiać nikogo aż do chwili przylotu do Montrealu.

Dalsze fachowe objaśnienie, które dał Kleczyński Mitkiewiczowi, stwierdzało, że jest to bomba zapalająca, która była podrzucona na lotnisku Prestwick do samolotu wiozącego gen. Sikorskiego i nastawiona na czas — mniej więcej czwartej albo piątej godziny lotu — a więc na moment, kiedy samolot z Sikorskim i jego ekipą znajdował się nad samym środkiem Oceanu Atlantyckiego. Płk Kleczyński — notuje dalej Mitkiewicz — dodaje przy tym, że, gdyby bomba zapaliła się, nie byłoby sposobu opanowania pożaru, samolot splanąłby w kilkanaście lub kilkadziesiąt sekund. Zna on bardzo dobrze tego rodzaju aparaty, używane przez lotnictwo brytyjskie, a służące do niszczenia samolotów wianych na wypadek przymusowego lądowania na terytorium nieprzyjaciela.

Na dalszych stronkach dziurka podaje Mitkiewicz zarządzenia bezpieczeństwa, jakie w następstwie tego incydentu powziął podczas powrotnego lotu Sikorskiego. Po powrocie do Szkocji — 6 kwietnia 1942 — podczas świątecznego przyjęcia w obecności gen. Sikorskiego, jego żony i córki wypowiada ze specjalnym naciskiem, iż jest zdecydowanie przeciwny wszelkim lotniczym podróżom Generała. Dowodzi, że zawierają one za wiele ryzyka, a generalowi Sikorskiemu w imię interesów Polski nie wolno narażać życia. W tym miejscu dziurka Mitkiewicza przytacza reakcję Generała: *General przypatruje mi się przez dłuższą chwilę z uwagą i odpowiada, że jest przeświadczony, iż wcześniej czy później czeka go śmierć w jednym z lotów, chciałby tylko, aby nie nastąpiło to, zanim nie zakończy swojej pracy, jaką prowadzi w czasie tej wojny, zanim nie powróci z nami do wolnej Polski.*

Niestety, na tym wymownym i jakże uzasadnionym zastrzeżeniu kończą się relacje płk. Mitkiewicza dotyczące niedosłego zamachu. Na temat przebiegu i wyniku śledztwa nie znajdujemy w jego dziurku najmniejszej nawet wzmianki. Z chwilą poinformowania o tym szefa sztabu, gen. Klimeckiego, sprawa znalazła się poza jego kompetencją.

Incydent z bombą zgodnie z zarządzeniem Mitkiewicza został otoczony

fa rządu i naczelnego wodza w oblicznym przekonaniu, że z jego usunięciem polityka rządu wkroczy na jedyną w ich mniemaniu skuteczną wobec Sowietów drogę nieustępliwości i twardości. Rozumowaliśmy, niestety, jakże naiwnie, że nawet dla mało wjaśnionych w akcję Sikorskiego dostępnym były i widoczne fakty świadczące, do jakiego stopnia był on czujny na grożące naszym interesom państwowym niebezpieczeństwo i ile wysiłku i energii wkładał w zapewnienie poparcia obrony praw Polski najpierw u rządu brytyjskiego, a gdy to zaczynało zawodzić, u amerykańskiego. [...]

W toku gorących dyskusji nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi na postawione przez Modelskiego pytanie: jak mogło dojść do tego, że naczelnemu wodzowi podsunęto do nominacji na attaché lotniczego, i to na tego rodzaju ważnej placówce jak Waszyngton, kandydaturę oficera wprawdzie o pierwszorzędnym stażu bojowym, ale w danej chwili już ciężko chorego. Zarówno na te, jak i inne nasuwające się pytania nie znajdowaliśmy odpowiedzi. Czekaliśmy więc na wynik śledztwa, które przeciągało się. Tłumaczono to faktem, iż łączy się ono na dwóch szczeblach: polskim i brytyjskim. Tempo wydarzeń wojennych i politycznych bardzo sprzyjało zatuszowaniu sprawy.

## Z tajemnic II wojny światowej

# General Sikorski miał zginąć nad Atlantykiem w 1942 roku?

Karol Popiel

Niesamowity ten raport skończył się zobowiązaniem Kleczyńskiego do zachowania najściślej tajemnicy i nieujawniania jej nikomu aż do dalszych rozkazów. Puszką, a raczej bombą zapalającą, została u Mitkiewicza. Pograżony w rozmyślnych nad wypadkiem przypomina sobie zachowanie Kleczyńskiego w ciągu kilku dni czekania na odlot do Ameryki i zapisuje w dziurku następującą opinię: *Zewnętrznie Kleczyński przedstawia się na ogół poprawnie, tylko jego oczy mi się nie podobają; są jakby błędne o dziwnym wyrazie niepokoju, czy strachu.* Następnie mimo późnej pory — godzina 2 w nocy — wzywa do siebie ppłk. Protasewicza, który jako saper jest w stanie fachowo rzecz ocenić, i informuje go o relacji Kleczyńskiego. Protasewicz po obejrzeniu przyrządu orzekł, że jest to bomba czasowa, zapalająca, o wielkiej sile działania i bardzo szybkim efekcie zapalającym. Zgodnie postanawiają, że po przyjeździe do Waszyngtonu trzeba poprosić oddział II Sztabu Generalnego Stanów Zjednoczonych o fachową ekspertyzę.

W sześć dni później w Waszyngtonie ekspertyza ta jest gotowa. Badanie laboratoryjne dokonane przez II Oddział Sztabu Generalnego amerykańskiego potwierdziło, że jest to „zapalająca świeca” o wielkiej mocy. Równocześnie zapoznał się Mitkiewicz z pisemnym zeznaniem Kleczyńskiego, złożonym przez niego na prośbę oficerów amerykańskich, przeprowadzających ekspertyzę. Mitkiewicz przytacza dosłownie odnośne zeznanie i stwierdza, że nie jest ono całkowicie identyczne z tym, co mu Kleczyński mówił w Montrealu. Notuje dalej, że ekspertyza amerykańska przezornie i nader ostrożnie nie podaje pochodzenia „świecy zapalającej”. Według opinii zastępcy attaché wojskowego polskiego w Waszyngtonie mjr. Dobrowolskiego, z konieczności dopuszczanego do tajemnicy, jest to produkt bez wątpienia pochodzenia brytyjskiego, używany w lotnictwie brytyjskim do niszczenia własnych samolotów, które musiałyby lądować na terenie nieprzyjaciela.

jak najdalej idącą tajemnicą. Poza nim oraz Protasewiczem i Kleczyńskim został w tajemniczo tylko ks. prałat Kaczyński, którego z tytułu jego stanowiska w Ministerstwie Informacji, przed wejściem do Rady Narodowej, potraktowano jako członka rządu RP, motywując to potrzebą, by w razie czego rząd o tym wiedział. Sam Sikorski dowiedział się o niedosłym zamachu na swoje życie dopiero po powrocie do Londynu.

Oczywiście i śledztwo toczyło się w jak największej tajemnicy. Nawet urzędujący wówczas podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wojskowych gen. Modelski, który w incydencie znalazł potwierdzenie stałych swych obaw i podejrzeń odnośnie do przygotowywanych w pewnych kołach wojskowych spisków na życie Sikorskiego, co uczyniło go bardzo niepopularnym w Londynie, zwłaszcza wśród wyższych oficerów, nie potrafił zdobyć bliższych informacji na ten temat.

Ja sam zostałem powiadomiony o całej historii dopiero w jakiś czas później, kiedy wrócił z Ameryki ks. Kaczyński. Po odjeździe Sikorskiego na wyraźne życzenie Generała pozostał on tam przez parę tygodni, w celu nawiązania kontaktu z parafianami polskimi na terenie Stanów i Kanady. Po powrocie ks. Kaczyński uznał, stwierdziwszy iż sprawa niedosłego zamachu jest dziwnie beztrudno traktowana przez decydujące czynniki „polskiego Londynu”, że powinien mnie o tym jako członka rządu i prezesa Stronnictwa poinformować. Roztrząsaliśmy tę sprawę kilka razy przy udziale gen. Modelskiego. W trakcie tych rozmów rodziły się różne podejrzania podtrzymywane przez Modelskiego, a które tak dla mnie, jak i dla ks. Kaczyńskiego wydawały się trudne do przyjęcia. Uznawaliśmy wprawdzie fakt, niemal nie ulegający wątpliwości, istnienia w wojsku różnych konspiracji antyrządowych. Nie mogliśmy jednak pogodzić się z myślą, że inspiratorzy i kierownicy tych spisków gotowi są posunąć się do zbrodni planowania zamachu na życie szefa

Również i na nasze zainteresowanie nałożono hamulec, z chwilą gdy gen. Modelski przez wojskowe otoczenie Sikorskiego stał pomawiany o manię prześladowczą na punkcie nie istniejących spisków w wojsku, w końcu został faktycznie usunięty od pełnienia czynności służbowych.

Po kilku dopiero latach krótką wzmiankę o całej sprawie przekazał Adam Romer, długoletni i najbliższy na stanowisku szefa gabinetu w Prezydium Rady Ministrów, współpracownik Sikorskiego, człowiek wielkiego zaufania, na które w pełni zasługiwał. W wydanej w 1949 roku broszurze „Z Sikorskim i Mikołajczykiem” notuje on na stronie 42 w związku ze znalezieniem bomby, że dowiedział się o tym dopiero później, kiedy orestrowany sprawca zmarł nagle w więzieniu śledczym w okolicznościach, które niejednemu wydawały się podejrzane.

Z tej relacji wynika, że Kleczyński został w trakcie śledztwa aresztowany, najwidoczniej pod zarzutem udziału w zamachu. Potwierdzały to przypuszczenie Modelskiego, które obaj z ks. Kaczyńskim staraliśmy się raczej wykluczyć, że Kleczyński był wyznaczony na wykonawcę zamachu. Ta powierzona mu przez spisek „misja” była powodem tego dziwnego zachowania na lotnisku w Prestwick, które tak uderzyło Mitkiewicza. Dalszy wniosek jest już prosty i logiczny. W czasie lotu pod wpływem wyrzutów sumienia i wątpliwości co do celowości ofiary z własnego życia — w ostatniej dostojnie chwili zdecydował się unieruchomić działanie bomby.

Jest więcej niż wątpliwe, by ta niesamowita zagadka zamachu i roli w niej Kleczyńskiego została kiedykolwiek wyświetlona.

<sup>1</sup> Relacja ta nie wydaje się być prawdziwa, gdyż Kleczyński zginął w wypadku ułecznym w Glasgow 20 marca 1944 r. Był w tym czasie dyrektorem nauk w Wyższej Szkole Lotnictwa.

**B**IELSKO-BIAŁA jest stworzona dla małych festiwali. Choć podobno Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych rozrasta się — jeszcze nie wyrasta z wąskich, po uszy zabrukowanych uliczek placików z markizami i łagodnych wzgórz. Turyści i goście festiwalowi z powodzeniem mieścili się w rozmaitych knajpach i kawiarniach, mlaskając pospół. Żarcie było dobre! Piwo również. Sama sztuka okazała się jednak mizerna. Żadne tam feerie rewelacyjnych przedstawień — parę ośnień, trochę śmiechu i to wszystko.

Jak szczerze wyznał dyrektor festiwalu, najlepsze teatry nie przyjechały czasem z powodów politycznych, ale częściej finansowych, gdyż organizatorzy nie płacili honorariów ani nie zwracali kosztów podróży. Tylko przyjazd jednego teatru „Bread and puppet” z USA kosztował stronę polską 1 milion 200 tysięcy złotych. Więc przyjeżdżali ci, którzy chcieli, lub byli finansowani, o których się słyszało, których ktoś polecił, a których przedtem organizatorzy nie widzieli. W rezultacie był to festiwal zrobiony w ciemno, bądź tylko z kagankiem w ręce — i geniusze po scenie się nie ściągali. Jednak był to także festiwal jedenaście i ostatecznie był.

Oczywiście oprócz przedstawień, z których publiczność chyłkiem uciekała, zdarzały się i takie, które odsiadano przez zasiedzenie. Ostatecznie dla fachowców była jakaś frajda w podglądaniu błędów i niezłych pomysłów, co pozwalało zaprzysiężać się z czeskim tym razem marnym teatrem, włoskim teatrem cieni czy szwedzkim cyrkiem marionetek. Z trzydziestu zespołów zagranicznych i ośmiu polskich można było sobie wybrać coś dla siebie, choć wymagało to tygodniowej fatygi.

Miłym spostrzeżeniem okazała się wysoka klasa teatru polskiego — bardzo inscenizacyjnego, pełnego rozmachu i swobody. Z okazji 40-lecia wznowiono kilka znaczących przedstawień takich jak „Wanda” z Poznania, „Bo w Mazurze taka dusza” z Gdańska, „Która godzina” z Wałbrzycha — i kto miał zaległości obejrzał kawał teatru do pozazdrożczenia. Zwycięskie przedstawienia z ostatniego festiwalu opolskiego: „Spowiedź w drewnie” ze

studio opowiada o walce indywidualisty ze skomercjonalizowanym światem nawet za cenę przegranej przy użyciu tak niewyszukanych środków, że widzów tyleż co przesłanie ujmuje dyscyplina warsztatowa. Podobnie łamiast słowem posługuje się lalką Roman Paska, a mówi dużo zagłębiając się w moralnych dylematach współczesnego człowieka. Tyle Ameryka — powściągliwa w wyrazie i nośna intelektualnie.

niesmacznych lub żalonych incydentów. Perspektywa teatralna, jaką stworzyli Finowie, uwzględniała nawet „życie po życiu”, które osiąga się po przebyciu osławionego tunelu. Zupełnie innym przedstawieniem zaimponowali widzowi Hiszpanie. Dowcip, aż do niefrasobliwego pure-nonsensu i bezpretensjonalność, to najkrótsza recenzja miniaturowej „Pijacy pełni księżyca” (pijacy doją księżyc obdarzony wymiarem, który maleje aż do cie-

## Lalki dla dorosłych

Anna Bocian

Szczecina i „Co wam powiem, to wam powiem” z Rabki — nie okazały się gorsze. Zagraniczni goście emokali z podziwu.

W kontekście tej narodowej dumy warto sobie przypomnieć opolskie rozdzieranie szat nad marną przyszłością teatru lalek i wyrównać kurs: tak źle z nami nie jest.

Może i nie jest, jednak jesteśmy tradycjonalistami. Teatr nasz żywi się literaturą i choć idzie mu ona na zdrowie, mógłby czasem zrezygnować z anegdoty, lub traktować ją o tyle poważnie, o ile staje się impulsem do odbierania jednoznacznych wrażeń, układających się w przejrzystą filozoficznie głęboką całość. Tak zbudował swoje ostatnie przedstawienie teatr „Bread and puppet” i wzruszył widza metaforą odwiecznego dążenia ku słońcu, sztuce, szczęściu wplątany w codzienne niemożności. Nurt egzystencjonalny zaznaczył się w teatrze amerykańskim zdecydowanie.

„Bunt jednostki” teatru Marquis-

Zupełnie inaczej zaprezentowali się Włosi. Można powiedzieć, że zainaugurowali oni seminaryjny nurt festiwalu, przywożąc zarejestrowane na wideokasetach fragmenty najlepszych swoich teatrów lalkowych. Sergio Diotti z Rawenny przywiózł na wideokasetach dokumentację własnych badań na temat „Szekspira a teatry lalkowe w Europie”, nie da się ukryć, że dla lalkarzy fascynujących.

Na koniec na uwagę zasługują trzy przedstawienia. Teatr ze Szwajcarii pokazał spektakl zbudowany na treści notatki prasowej o gwałcie, którego dopuścili się dwaj żołnierze. Inspiracja zobligowała autorów przedstawienia do interesujących pomysłów formalnych, pozwalających zrealizować subiektywne prawdy naocznych świadków i zachować dürrenmattowską gęstość dramaturgiczną. Finowie pokazali spektakl „Edith Piaf” który poprzez użycie lalek dał złudzenie teatru kosmicznego, i w którym nawet sławne osoby zostały zredukowane do kukielek, a ich życiowe dramaty do

niutkiego nowiu). Te trzy niezwykle różniące się od siebie spektakle łączy jedno: niebanalne korzystanie z możliwości teatru lalek. Przedstawienia te zaznaczają zupełnie inne punkty w wyobraźni teatralnej, wokół których może kręcić się scena. Może, ale się nie kręci, gdyż teatr lalek wciąż jest teatrem nie wykorzystanych możliwości.

Tymczasem teatr ten czasami może mówić więcej niż teatr dramatyczny, nawet może być daleko bardziej od niego dramatyczniejszy. Przykładem choćby „Bread and puppet” rozwijający się od krzyku aż do przejmującej ciszy.

A co do dzieci — to kto z twórców tak naprawdę je zrozumie? Na festiwalu w Bielsku dzieci zanosili się ze śmiechu akurat wtedy, gdy dorosłych zalewała krew i uciekali z teatru. Zresztą, prawdę mówiąc, na festiwalu nie było zbyt dużo przedstawień dla dzieci, bo gdy dorosli tak naprawdę bawią się w teatr — bawią się sami!

## NAZARETH

„**P**AGART” robi ostatnimi czasy co może, aby możliwie często ściągać na koncerty najatrakcyjniejsze gwiazdy piosenki z drugiego obszaru platynowego. Nie zawsze mu się to udaje, najczęściej z powodów finansowych. Co by powiedzieć, twarde zasady ekonomiczne rządzą także estradą, a gwiazdorzy żądają niejednokrotnie zawrotnych honorariów. Skoro nie stać nas było na sprowadzenia Van Hallena, AC/DC czy Rainbow, spróbować skłonić do przyjazdu grupę NAZARETH. Wprawdzie notowania teże w ostatnich latach jakby nieco przygasły, ale wciąż mieści się ona w gronie doborowych wykonawców ostrego, metalicznego rocka. A heavy metal nie od dziś cieszy się ogromnym uznaniem młodocianych odbiorców piosenki. Popularne zespoły Azyl P. i TSA towarzyszyły Nazarethowi w koncercie inauguracyjnym jego polskie tournée. Koncert odbył się w poznańskiej hali „Arena” i zgromadził ponad sześć tysięcy żądnych emocji nastolatków. Tych entuzjastów piekielnie głośnej muzyki ściągnęła do „Areny” legenda szkockiego kwartetu. Powstał on w początkach lat sześćdziesiątych, by w 1969 roku przybrać obecną nazwę i rockowy kierunek rozwoju. W ciągu 15-letniej kariery zdołał wydać 17 dużych płyt i kilkadziesiąt singli w wielomilionowych nakładach. Słuchano go z podziwem w wielu krajach świata, od Skandynawii po Amerykę.

Nazareth zjawiał się na listach najchętniej słuchanych nagrań w 1971 roku, z chwilą wydania pierwszego albumu. Już wtedy rokowano mu świetną przyszłość. Wspólne koncerty z grupą Deep Purple sprawiły, że basista Roger Glover „zaopekował się” zespołem. On też był producentem wielce udanego longplaya „Razamanaz”, z tak znaczącymi dla brytyjskiego rocka przebojami, jak „Bad Bad Boy” i „Broken Down Angel”. Jednak największy triumf święciła grupa dzięki płycie „Hair of the Dog”. Zawierała ona dwa światowe hity, znane dużo wcześniej z innych wykonawców: „Love Hurts” duetu Everly Brothers i „My White Bicycle” zespołu Tomorrow. Oba w znakomitym wydaniu Nazarethu obiegły glob, zyskując nieprawdopodobną wprost popularność. Singel „Love Hurts” gościł na europejskich i amerykańskich

notowaniach bestsellerów kilkadziesiąt tygodni, oczywiście jako „Złota Płyta”.

Prawdą jest, że nie wszystkie osiągnięcia grupy były sukcesem. Brytyjska krytyka niezbyt życzliwie sekundowała poczynaniom szkockiego kwartetu, zwłaszcza zaś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy ukazało się aż pięć albumów Nazarethu. Wytykano mu niemiode brzmienie, nadmierną skłonność do hałasowania i banalne kompozycje. Mimo to Nazareth dzielnie stawiał czoła „wybrzydaczom”, koncertując i nagrywając nowe krążki. Znaczącym w jego historii był dysk „2XS” z kapitalną balladą „Dream On”, świeżącą sukcesy antenowe także u nas.

Przyjazd do Polski nastąpił w momencie kolejnej metamorfozy personalnej. Nazareth przybył w klasycznym, czteroosobowym składzie, stabilnym od 15 lat (sic!): Dan Mc Cafferty — śpiew, Manny Charlton — gitara, Peter Agnew — bas i Darrel Sweet — perkusja. Zagrał wybornie, przekonując największych nawet niedowiarków, iż do perfekcji opanował tajniki rockowej ekspresji. Myślę, że sukces tego koncertu uzależniła nie tylko dobra forma całej czwórki, ale też jej pyszny program. Nazareth zaprezentował polskim fanom największe przeboje ze swej poprzedniej dyskografii, ułożone logicznie. Nie ma przesady w stwierdzeniu, iż był to prawdziwy popis heavy rockowego grania, bez taniego łomotu, za to z polotem i finezją. Członkowie licznie zgromadzonych w „Arenie” rodzimych zespołów nie mogli wyjść z podziwu dla kondycji i wyśmienitego warsztatu pary Mc Cafferty — Charlton. Na ich barkach spoczywał ciężar widowiska, okraszzonego hojnie iluminacją i barwnymi dymami. W atmosferze wyczekiwania na sensację, z estrady płynęły precyzyjne solówki gitary Charltona, z których każdy riff był na wagę złota. Nie zdziwił mnie zatem entuzjazm tysięcy gardel, zmuszający grupę do dwukrotnych bisów. 100 minut heavy rockowego koktajlu zasługiwało na wielki aplauz. I choć członkowie Nazarethu nie wyglądali na młodzieńców, bardzo szybko zdołali znaleźć wspólny język z wiwatującym na ich cześć tłumem fanów.

Po gorąco oklaskiwanym występie muzycy wzięli udział w konferencji prasowej „PAGARTU”. Jej dosyć burzliwy przebieg przerywał co chwilę dowcipny perkusista Darrel Sweet. Prezentowany czytelnikom zapis stanowi kwintesencję odpowiedzi na pytania „merytoryczne”. Pominąłem w nim

pytania o samopoczucie muzyków, gusta, stroje i ulubione trunki.

— Jak to się stało, że wyładowaliście w Poznaniu? — Oczywiście, bez większych sensacji na granicy. Ktoś, bodajże Grek Kuczyński, zapytał kiedyś nas, czy nie chcielibyśmy zagrać w Polsce. Odpowiedzieliśmy, że chętnie. Po kilku miesiącach załatwianis formalności i warunków tego tournée jesteśmy u was.

— Złośliwi krytycy (a tych nigdzie nie brakuje) zdania, że wasza wizyta w Polsce jest spóźniona co najmniej o kilka lat. Podobno sława firmy Nazareth mocno ostatnio przybladła i gracie teraz wyłącznie w małych klubach.

— Widać, że czytacie plotkarskie pisma. Ale to nie wszystko prawda. Gramy też w najbardziej ekskluzywnych salach Londynu. Przed Świętami Wielkanocnymi koncertowaliśmy w Stanach Zjednoczonych, a trochę później w Szwajcarii. Wszędzie przy kompletach publiczności. Czy w tej sytuacji można mówić o odstąpieniu na boczny tor?

— Jak naprawdę przyjęto wasz siedemnasty krążek o wymownym tytule „Sound Elixir”?

— Płyta nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Zdania krytyków były podzielone, ale finansowo zrobiła piątkę. Nie mamy co ukrywać.

— Może to jest oznaka końca waszej kariery? — Choć żaden z nas nie może już uchodzić za nastolatka, gramy muzykę dla młodych. Na koncertach czujemy się wybornie i bawimy nie gorzej od publiczności. Rock najwyraźniej odmładza. Bynajmniej nie grozi nam wypalenie akumulatorów. Gramy ze sobą od blisko dwudziestu lat i przeżyliśmy już wiele burz. Teraz nie nam nie może zagrozić, tym bardziej, że mamy sporo pomysłów. Wkrótce przystępujemy do nagrania następnej płyty. Wyda ją w sierpniu br. firma Phonogram.

— Nie jesteście zmęczeni sobą po tylu latach? — Traktujemy to jak małżeństwo. Oczywiście bywają udane i nieudane. Nasz związek należy do tych pierwszych. Nie nudzimy się ze sobą nawet poza sceną.

— Co uważacie za swój największy sukces? — Sukcesem była niewątpliwie płyta „Hair of the Dog” z 1975 roku i wielki szlagier „My White Bicycle”. Wyśoko cenimy też koncerty w Nowym Orleanie z 1980 roku.

— Jak długo gracie znowu w czteroosobowym składzie? — Po wielu latach występów w piątce, postanowiliśmy wrócić do pierwotnego składu. W Polsce gramy po raz pierwszy we czterech. Obawialiśmy się nieco, czy poradzimy sobie z dwiema gitarami. Okazało się, że obawy były zbędne. Jesteśmy znowu w formie.

— Czy waszym zdaniem nawiązaliście kontakt z widownią „Areny”?

— Nie zaliśmy jej dotąd, bo niby skąd. Początkowo mieliśmy małe kłopoty z aparaturą, lecz po kilku minutach ekipa techniczna usunęła usterkę.

— Podobno graliście co nieco z playbacku? — Tak, w trzech utworach wykorzystaliśmy nagrany na taśmie syntezator. Trzeba jednak powiedzieć, że wbrew temu co się powszechnie sądzi, na koncertach nie jest wcale łatwo grać z taśmą.

— Koncertujecie wspólnie z grupą TSA. Co nieładnie? — Nie spodziewaliśmy się zastać u was tak ogniste grającej kapeli. TSA podoba nam się za młodzieńczy wigor. Dobrze, że taka właśnie grupa poprzedza nasze występy, bo stymuluje atmosferę.

Istvan Grabowski

## Conan Doyle nie lubił Sherlocka Holmesa

**D**O „Sherlocka Holmesa, detektywa, 221 B Baker Street, London” w ciągu roku orczychodzą kilkadziesiąt listów. Firma, która rezyduje pod tym adresem, zatrudnia specjalnie człowieka odpowiedzialnego za listy i traktującego swą pracę w wielką powagę: „Nie zawsze wiadomo, czy autor listu myśli poważnie, czy też kpi, a nie chcemy nikogo urazić”. Dla wielu osób we wszystkich częściach globu Sherlock Holmes jest ucieleśnieniem

genialnego detektywa. Tymczasem Arthur Conan Doyle, który go stworzył, nie lubił swego bohatera. Urodzony przed 123 laty, lekarz i wykształcenia, marzył o wejściu do literatury jako autor powieści historycznych i był przekonany, że wartość artystyczna tych książek dawała mu ku temu prawo. „Gdyby nie było Holmesa, moja pozycja w literaturze byłaby inna” — zauważył z gorczyca w 1923 r.

W 1887 r. Doyle, który praktykował jako lekarz w Southsea, na południowym wybrzeżu Anglii, napisał pierwszą powieść z Holmesem. Pojawił się w niej zresztą nie tylko Holmes, lecz od razu również doktor Watson, przyjaciel i asystent detektywa —

zdaniem wielu ciekawsza, bardziej fascynująca postać powieściowa niż Holmes. Zwraca się uwagę, że to właśnie Watson z zawilej intrygi zawsze wyciąga ostateczne, lecz błędne wnioski. Daje w ten sposób Holmesowi okazję do uszczypliwych uwag, a krytyk identyfikuje się w trakcie dyskusji ze sławnym detektywem.

Ogółem Doyle napisał 56 krótkich opowiadań i 4 powieści, w których Sherlock Holmes i doktor Watson demaskują zbrodniarzy albo w ostatniej chwili ratują ich ofiary. Utwory te przetłumaczono na mnóstwo języków: wiele zostało sfilmowanych. Panuje też opinia, że nadała się wspaniale dla telewizji, jakby Doyle przewidział poja-

wienie się tego medium. Sam twórca Sherlocka Holmesa był przekonany, że potrafi przewidzieć niemal wszystko. Ukonował w 1902 r. tytułem szlacheckim, zapragnął udowodnić „naukowym metodami”, że zjawiska nadprzyrodzone są rzeczywistością. Podobne teorie powodowały, że jego reputacja, która zyskał nie tylko jako pisarz, lecz również podróżnik po Afryce i Arktyce, z czasem podupadała. Doyle, który brał udział jako lekarz w wojnie burskiej i napisał o niej książkę, był publicznie wyszydzany przez naukowców. Ale obecnie nikt już nie pamięta o tym drzwactwie pisarza, który był wymieniany nawet w gronie kandydatów do nagrody Nobla.

Większość czytelników, dla których Sherlock Holmes stał się wzorem i synonimem detektywa, nie zna nawet nazwiska bohatera. Bohater przetrwał więc sławą swego twórcy.

(PAP)

## FOTOGRAFIE

### NIE Z TEJ ZIEMI

**D**ZIESIĄTY czerwca w Kazimierzu nad skutecznie regulowaną Wisłą, która coraz bardziej przypomina ujeżdżone przez człowieka, spokorniałe i brudne zwierzę, był dzień o zmiennej geometrii atmosferycznej: trochę padało, trochę świeciło, czasami powiało zapachem oleju z budki w pobliżu Grodarza, szturmowanej przez szkolne wycieczki amatorów frytek. Młodzież obżerała się smażonymi kartoflami, epala wielkie koguty ze słodkawego ciasta po 50 zł sztuka, chlapała się lodami — zachęcana do konsumpcji przez dorosłych, którzy z siatkami na zakupy szwendali się po rynku, od czasu do czasu kierując wzrok otepiałym tam, gdzie wskazywali przewodnicy tej naszej niedzielnej Polski turystycznej.

Było zatem w Kazimierzu normalnie: zabytkowo i relaksowo, tłumnie, no i oczywiście artystycznie, jako że nad tą całą scenografią powiewała wielka plachta z reklamą „galerii sztuki” pod tytułem „Jatki”, zawieszona na rusztowaniach opłatających kamienicę Przybyłów, a pod ścianami rynku okopano się sześć straganów z malowidłami oraz jeden z rzeźbą w drewnie. Oferowane tam obrazy wabiły klientelę strukturą swawolnych wyobrażeń o lokalnych wartościach historyczno-estetycznych (fara, kamienice z Mikołajem i Krzysztofem, zamek, studnia z daszkiem, kamienica Celejowska itp.), ale także tematyką oryginalniejszą, np. rustykalną, konkretyzowaną w postaci malowideł ośnieżonej chałupy wiejskiej, leśnego uroczyska z klimatem emocjonalnym jako żywo przywołującym damskie morderstwo literackie z powodu malin i Kirkora.

W tym bogactwie malarskiej inicjatywy prywatnej wyróżniało się przecież płótno z pastuszkami, eksponowane w pobliżu Domu Architekta, którego formę udatnie wymyślił przed laty sam Karol Siciński. Otóż pachole z tego obrazka pasło gęsi, jakby wzorując się na metodologii zabaw dziecięcych, odnotowanych w rysunkach Adamsa czy Lutczyńca, a zatem walcąc ptaszyska kijaszkiem po grzbiętach. Podobało mi się to, ale cóż — autorka zażądała zań kilka tysięcy. Była to zresztą kwota umiarkowana; na moich oczach za znacznie nudniejszą pejzażką kazimierską pewna rodzina wycieczkowa z radością zapłaciła — innej pani, rozlokowanej w pobliżu kamienicy Gdańskiej, gdzie niegdyś mieszkał Jan Karmański — dokładnie 6500 zł. W ramach rekompensaty mogłem co prawda zafundować sobie portrecik piórkowy lawowany akwarelą, wymagający tylko 15 minut pozowania oraz 300 zł, ale nie wykorzystalem tej szansy, osłupiawszy na widok plakaciku tej treści: „Mini-wystawa malarstwa, Waldemar Wojczakowski Diabeł”. Ki diabeł?! — pomyślałem i ledwo zdążyłem uklonąć się panu Franciszkowi Kmicie, który ciężkim krokiem zmierzał w kierunku ul. Lubelskiej, gdzie od lat dom własny wznosi, prawie naprzeciwko domu kultury, w którym niegdyś mieszkali studenci Tadeusza Pruszkowskiego w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Zabytkowy budynek w czasach feudalno-kapitalistycznych służył jako szpital-przytułek, krył nędzę ludzką, dzisiaj kryje go nowy dach gontowy,

ulożony zapewne przez naszych jurynych górali, z których każdy za jeden dzień pracy domaga się i otrzymuje kilka tysięcy złotych, nie mówiąc o innych wartościach, co nie wydaje się przecież sumą wygórowaną, albowiem namalowanie takiego pejzażku (za 6500 zł) pochłania może z pięć godzin.

Ludzie zadomowieni na kazimierskim rynku widzieli we mnie tylko skarbonkę, więc nie chcąc ich dłużej smucić własną niewypłacalnością, udałem się do Galerii Letniej, gdzie jako Zastępczy Działacz Kultury wstęp miałem wolny i znajomego strażnika. Od maja eksponowano tam fotografie Edwarda Hartwiga z lat 1926—1983, przedstawiające motywy z Kazimierza i Lublina, prace w większości mi znane z licznych albumów artysty, który przez wiele lat przedwojennych i kilka powojennych mieszkał nad Bystrycą, osiedlając się ostatecznie — mądry człowiek — w Warszawie.

Tak się przy tym złożyło, że do galerii wszedłem razem z wycieczką szkolną, prowadzoną po „perle naszego renesansu” czy po „Mekce malarstwa” przez panią w wieku dojrzałym, ale nie za bardzo. Ekskursja była z Legionowa, przewodniczka — chyba miejscowa, bo bez zająknięcia poinformowała dzieciarnię, że „jesteśmy oto w jedynej w Polsce muzeum złotnictwa, gdzie są piękne srebra, które zaraz zobaczymy w podziemiach, podzieliwszy się na dwie grupy, ponieważ jednorazowo nie wpuszcza się tam więcej, niż 20 osób”. A w chwilę potem, kiedy młodzi formowali szyki, polykając ostatnie frytki z przetłuszczonych torebek, pani dodała: „Tu zaś, gdzie jesteśmy, urządziła się wystawa czasowa: malarstwa, fotografii”. I ani słowa o tym, że na dookólnych ścianach wiszą zdjęcia wykonane przez człowieka, uznanego za jednego z najwybitniejszych twórców w dziejach fotografii światowej...

Przy drzwiach do galerii wisiał portret Kozdronia — ociemniałego żebraka z międzywojennego Kazimierza, który pozował Michalakowi, Zamoyskiemu, Gotardowi i innym malarzom, kreującym piękną legendę miasteczka nad Wisłą. Wolorowy, ale miękki po malarsku, romantyczny w nastroju — wizerunek ów przedstawiał mężczyznę z kosturem w dłoni, wylaniającego się gdzieś spoza kadru. Spoza kadru? A może z innego świata, który odszedł w przeszłość razem ze swoim przekonaniem w nieprzemijającą wielkość sztuki, pojmowanej jako sakralny akt obcowania z tajemnicą istnienia, dostępną przede wszystkim artystom — naszym przewodnikom w mozolnej bieganinie po Ziemi?!

Imponująca twórczość Edwarda Hartwiga, rozwijana przez ponad pół wieku, nieustannie manifestuje życzliwe zaciekawienie artysty światem i ludźmi. Czy nie wydaje się to Państwu staroświeckie?!

IJK

PS. Katalog wystawy otrzymałem bezpłatnie, więc tymczasem zamieczę o tym, co sądzę o jego redakcji i błędach zawartych we wstępie do wydawnictwa. Ten wstęp intryguje mnie pod jeszcze jednym względem...

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32
33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48
49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64
65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80
81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96
97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110	111	112
113	114	115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128
129	130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141	142	143	144
145	146	147	148	149	150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160
161	162	163	164	165	166	167	168	169	170	171	172	173	174	175	176
177	178	179	180												

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki współczesnego pisarza polskiego. Ostatnie litery 18 początkowych wyrazów pomocniczych tworzą imię i nazwisko tego pisarza oraz tytuł książki, z której pochodzi cytowany tekst. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec zdania.

Wyrazy pomocnicze:

1. miara wiersza: dwie sylaby długie — 130, 137, 165, 51, 21, 66, 60.
2. wielka woda — 46, 55, 102, 58, 73.
3. poprzedza powódź — 128, 170, 131, 163, 143, 37, 78.
4. sztukmistrz — 53, 14, 24, 123, 100, 41, 85.
5. mila morskie na godzinę — 177, 96, 157, 62, 144.
6. jeden tyłko u kulawego — 169, 176, 5, 167, 20, 52, 132.
7. amerykański wędrowiec — myśliwy — 54, 36, 4, 70, 86, 160.
8. nad czeladnikiem — 113, 90, 64, 72, 115, 148.
9. państwo na półwyspie — 39, 142, 100, 50, 173, 110.
10. wynik nierozstrzygnięty — 57, 9, 104, 122, 89.
11. drzewo liściaste — 155, 166, 32, 116.
12. brząsk — 127, 11, 71, 1.
13. kółko kielbasy — 139, 91, 175, 49.
14. na nalewkę Rzeckiego — 99, 117, 3, 69, 152.
15. orcz owada — 158, 124, 27, 161, 23.
16. sposób budownictwa z drewna — 16, 22, 61, 101.
17. pis myśliwski — 26, 103, 30, 151, 136.
18. rogata zwierzę hodowlane — 111, 40, 118, 95, 25.

19. miesiąc — 29, 68, 15, 154, 178, 134, 81, 38.
  20. damska lub aktorska farba — 30, 8, 18, 83, 165, 74, 133.
  21. siedziba najpracowitszych istot — 10, 13, 88, 121, 93, 168, 97, 156.
  22. rekordowy wynik — 63, 47, 110, 44, 19, 82.
  23. stacja kolejowa na trasie Dębina—Warszawa — 106, 112, 172, 31, 43, 82.
  24. ateńska rada starszych — 38, 6, 2, 138, 114, 75, 87.
  25. słowiański diabeł — 162, 123, 107, 147.
  26. dwie drewniane kłody do zakuwania ludzi — 141, 59, 67, 17.
  27. miasto w USA z dużą liczbą polskich mieszkańców — 125, 120, 174, 84, 171, 178, 124.
  28. głos męski — 104, 140, 153.
  29. składnik pocługu — 146, 7, 108, 34, 76.
  30. kuguar — 56, 42, 145, 149.
  31. nad środkowym Dniestrem i Bohem — 33, 79, 109, 129, 150, 94.
  32. jeszcze nie miłość — 43, 12, 48, 80, 158, 77, 65, 88.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12

Przewracali się po łączce, darmo jeden drugiego przemoc usiłując. Jak zwykle żaden nie dał rady drugiemu i skończyli nagle, jak zaczęli. Miłosz legł zdyszany na trawie, a Orlaka chłodził wodą ze stawku rozbity nos.

Karol Bunsch  
„Ojciec i syn”

Nagrodę wylosował Jerzy Pawlicki, Dąbrowskiego 12/59, 89-200 Szubin.



Pewnego dnia, gdy Moller siedział ułec, głowic się nad wymyśleniem nazwiska dla jednej z postaci w „Chorzym z urojenia” — owego właśnie specjalisty od lewatywy — natknął się przypadkiem na praktykanta aptecznego, którego zapytał:

— Jak się nazywasz, młodzieńcze?  
— Fleurant — brzmiała odpowiedź.  
— Mój drogi, niechże cię usłucham — rzekł Moller. — Szukam właśnie nazwiska dla twojego kolegi; wybawiasz mnie z kłopotu, wyjawiając mi je!  
Wiele o tym epizodzie rychło rozszła się, i szerokie kręgi wielbicieli Mollera żywo zainteresowały się „pierwotorem” Fleuranta z komadi. Tłumy śpieszyły oglądać skromnego aptekarza, który, zostawszy niebawem magistrem farmacji, dorobił się znacznej fortuny. Tak to, w zamian za ośmieszenie przez Mollera, pocztuy Fleurant otrzymał rzetelne odszkodowanie.

Do fotografa na rue de Rivoli podchodzi amerykański turysta.  
— Czy posiada pan fotografię „Giocondy”?  
— Naturalnie!  
Amerykanin ogląda fotografię i dorzuca:  
— A może ma pan troszeczkę bardziej z profilu?

Gdy Henryk Heine leżał śmiertelnie chory, odwiedził go jeden z przyjaciół paryskich. Został poeiz przenieszonego właśnie przez dwie pielęgniarki. Wzruszony przyjaciel rzekł:  
— Jak się masz Henryku? Co słychać u ciebie?  
— Dobrze, mój drogi — odparł Heine. — Jak widzisz, aniolowie jeszcze za życia noszą mnie na rękach.

Wyszperal: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasliński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzeżenie sobie skróty. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w piątek w godz. 11—18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza BSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 231-33.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Oniejska 4.

Adres redakcji: 20-950 Lublin, ul. Sztodorskiej 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 231-33, sekretarz redakcji 231-33, dział publicystyki i literacki 73-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# OESH!

Marek Ostachowicz

Najwyższym celem w karate nie jest zwycięstwo, dobry zawodnik dąży do doskonalenia swojego charakteru.

Masutatsu Oyama: This is Karate

Karate jest sztuką i filozofią walki, która na przestrzeni wieków rozwinęła się na Wschodzie. Szczególnie udoskonalili ją mieszkańcy wysp Ryukyu, gdy w 1609 roku ród Shimazu z Wyushu podbił te wyspy i odebrał wszelką broń (tak zwana „wojna o miecze”) jej mieszkańcom. W wyniku powyższego Ryukyu'anie zmuszeni byli do wynalezienia czy doskonalenia znanych wcześniej form samoobronnych, pozwalających na pokonanie przeciwnika posiadającego broń. Dzięki duchowi pomysłowości praca ta doprowadziła do tego, że mieszkańcy wysp Ryukyu uznawani są za najlepszych praktyków karate na świecie. Przyczyną tego stanu rzeczy szukać należy głównie w sile ducha, a karate stało się wyrazem odważnej obrony słabszego przed dominacją silniejszego przeciwnika. Najtoższym bowiem celem karate jest rozwój lepszych cech ludzkiego charakteru, a nie samo przygotowanie człowieka do walki z fizycznym przeciwnikiem. Moim zasadniczym celem jest wykazanie, że karate nie przetrwałoby długo jako sama tylko

technika walki. Jego żywotność i ciągła atrakcyjność wywodzą się bowiem z połączenia techniki czysto formalnych z koncentracją ducha (połączenie techniki karate z Zen i Joga). Dlatego karate nie może być traktowane jako sztuka walki dla pokonania przeciwnika, ale jako droga samorozwoju tak w duchowym jak i fizycznym sensie. W sumie właściwe traktowanie karate jest sposobem doskonalenia swojego charakteru.

Te słowa Masutatsu Oyamy, najwybitniejszego karateki naszego stulecia, zawarte w jego książce „This is Karate” powinny stać się moralnym wezwaniem i pouczeniem dla adeptów tej sztuki — adeptów wszelkich maści i odcieni. Z jednym jedynym zastrzeżeniem: chętniej skierowałbym je pod adresem różnego rodzaju instruktorów i pseudoinstruktorów — mistrzów z malowanymi pisakami na różne kolory pasami. Panowie! sztuka karate nie polega na biciu ucznia bambusem czy szkodliwym obdziałaniu go kopniakami za złe przyjęcie pozycji Kiba-Dachi. Owszem, dyscyplina i etykieta DOJO są bardzo ważnym czynnikiem tego sportu, szczególnie, jeśli chodzi o sztuki Budo Kyokushinkai — kan Karate w Tokio przestrzega dyscypliny tak niewiarygodnie, że nikomu nawet na myśl nie przychodzi możliwość jej złamania. Pozwolę sobie posłużyć się opisem A Drewniaka: Wejście do DOJO to nie tylko wejście do budynku, ale także do świątyni BUSHIDO. Wchodząc tam należy wszystkich powitać głośnym „OESH”, co znaczy „Pozdrawiam wszystkich”. Zaraz potem należy podejść do nauczyciela, jeżeli jest już na sali (a na ogół jest) i pozdrawić go w taki sam sposób — pięści jak przy Fudo-Dachi. Następnie pozdrawić asystenta i czarne pasy. Szatnia służy tylko i wyłącznie do przebierania się, należy więc szybko ją opuścić. Wcho-

dząc do Dojo pozdrawia się w milczeniu CHINDEN (świątynię Dojo), trzymając wyprostowane dłonie przy udach, nogi jak w Musubi-Dachi, kłaniając się górną połową ciała i nisko pochylając głowę. Na sygnał „początek zajęć” wszyscy siadają w Zazen — na kolanach, pośladki na piętach, zacisnięte pięści na pachwinach. Najstarszy stopniem spośród uczniów (Sempai) po sprawdzeniu, czy wszystko jest w porządku, rozpoczyna okrzykiem „Mokuso”. Na ten sygnał wszyscy zamykają oczy i następuje medytacja Zen. Jest ona stanem, który rozpoczyna się odpreżeniem połączonym z oddychaniem, a kończy koncentracją i oddaniem się treningowi. Po komendzie „Mokuso jame” (otwórzcie oczy) pada polecenie „Chin-ni-rei”, co oznacza pokłon w stronę świątyni. Wszyscy przyrzekają wtedy duchem i ciałem poświęcić się treningowi. Po ceremonii nauczyciel obraca się o 180 stopni twarzą do ucznia. Sempai wita mistrza, wtedy wszyscy kłaniają się z kostkami dłoni opartymi o podłogę i głośnym, wyraźnym okrzykiem „Oesh”. Po tym wszyscy siadają i czekają, aż nauczyciel wyda polecenia. Do nauczyciela nie wolno zwracać się ani po imieniu, ani nazwisku, jedynie per „SENSEI” albo „SHIHAN”. Do starszych rangą należy zwracać się per „SEMPAI” z nazwiskiem np. Sempai Kowalski.

W czasie zajęć nie wolno opuszczać sali bez zezwolenia nauczyciela lub asystenta. Po treningu z sali pierwszy wychodzi nauczyciel, po nim czarne pasy. Ta sama etykieta obowiązuje w umywalni. Uczeń bez słowa zobowiązany jest do ustąpienia im miejsca. Każda rozmowa z nauczycielem jest również objęta szczegółowymi przepisami. Obowiązującą postawą jest Fudo-Dachi, pięści w prawidłowym ułożeniu. Na wszelkie poprawki i uwagi ze strony nauczyciela lub asystenta nale-

ży z ul Karatego i cała, p niem. I wre Przed i ninga w składają posiada larstwer sekwencji użyci podługowie liozo-ficznej jest stylem życia. Stąd waga i kolosalne znaczenie PRZYSIĘGI DOJO:

1. Będziemy ćwiczyć nasze serca i ciała dla osiągnięcia pewnego niewzruszonego ducha.
2. Będziemy dążyć do prawdziwego opanowania sztuki karate, aby kiedyś nasze ciało i zmysły stały się doskonałe.
3. Z głębokim zapalem będziemy się starać kultywować ducha samowyrzeczenia.
4. Będziemy przestrzegać zasad grzeczności, poszanowania starszych oraz powstrzymywać się od gwałtowności.
5. Będziemy spoglądać w górę ku prawdziwej mądrości i sile porzucając inne pragnienia.
6. Będziemy wierni naszym ideałom i nigdy nie zapomnimy o cnocie pokory.
7. Przez całe nasze życie poprzez dyscyplinę karate dążyć będziemy do poznania prawdziwego znaczenia drogi, którą obraliśmy.
8. Nie będziemy stosować i rozpowszechniać sztuki karate poza Dojo. Nippon Karate — Do Kyokushinkai

### HONBU

Złamanie przysięgi DOJO powoduje skreślenie z listy DOJO.

Tekst ten przedrukowujemy z krakowskiego „Pisma Literacko-Artystycznego”. Jak widać, karate interesuje również intelektualistów...

# Lapaj złodzieja...

## Rozmowa z JANEM DEMCZUKIEM wiceprezesem urzędującym RKS „Motor” Lublin

- Jak się pan czuje po zakończonym sezonie piłkarskim? — Czuję się dobrze.
- Dopisuje panu poczucie humoru... — Dopisuje mi, proszę pana, poczucie realizmu. W odróżnieniu od niektórych pańskich kolegów po piórze.
- Może nieco konkretniej... — Proszę uprzejmie. Przed sezonem ligowym 1983/84 planowaliśmy zdobycie 28 punktów, po czternastu w każdej rundzie. Zdaniem trenera Leszka Cwikiewicza i naszym, zarządu RKS „Motor”, miało nam to zapewnić bezpieczną lokatę, w granicach 10—12 miejsca. Jak wiadomo, uzyskaliśmy 29 punktów i zajęli miejsce dziesiąte. Plan został wykonany z przekroczeniem. Jest to zresztą najlepszy wynik miejsce w dotychczasowej karierze I-ligowej naszych piłkarzy. Trzeba wyjątkowo złej woli, aby tego nie dostrzec.
- Zaraz, zaraz... Przecież w rundzie jesiennej zdobyliście aż 19 punktów i plany skorygowaliście „w górę”. Mówiło się nawet o miejscu premiowanym udziałem w Pucharze UEFA. — Jest to, delikatnie mówiąc, nieprawda. Istotnie pierwsza runda wypadła nadspodziewanie pomyślnie i tego nikt się nie spodziewał. Po jej zakończeniu liczyliśmy na zdobycie wiosną dwunastu, a w sprzyjających okolicznościach czternastu punktów. O Pucharze UEFA nikt przy zdrowych zmysłach nie myślał, a już na pewno nikt w klubie.
- Jak to? Najpierw planujecie czternastu punktów, a potem schodzicie do dwunastu? — Renomowane drużyny nie wypadły najlepiej jesienią i ich „przebudzenie” musieliśmy brać pod uwagę. Obszerna była strefa spadkowa. Zdawaliśmy sobie sprawę, że o punkty będzie znacznie trudniej. I to się potwierdziło.
- Ostatecznie zdobyliście tylko dziesięć punktów... — Zgadza się.

- Ważny jest również styl. Ten nie był porywający. — Faktem jest, że druga runda była gorsza i mamy tego pełną świadomość. Apetyty wzrosły po jesieni, stąd pewien niedosyt wiosną. Tylko niech mi pan powie, jak oceniałoby się cały sezon, gdyby proporcje były odwrotne: jesień — dziesięć punktów, wiosna — dziesięćnaście? Przecież cały Lublin szalałby ze szczęścia.
- Niestety, dostarczaliście w Lublinie innych emocji! — W minionym sezonie znacznie lepiej graliśmy na wyjazdach, co dotyczy także i wiosny. Zremisowaliśmy z „Widzewem” w Łodzi, rozegraliśmy bardzo dobry mecz z „Pogonią”, mimo porażki. Ostatecznie w tabeli wyjazdów zajęliśmy bodaj piąte miejsce. Należy uznać to za pozytywne zjawisko, bo dotychczas raczej nam się nie wiodło na boiskach przeciwników.
- Pozostaną przy lubelskich występach. Dlaczego było wiosną tak słabo? — Przyczyn jest, moim zdaniem, kilka. Zaważyła słabsza dyspozycja lidera zespołu, Leszka Iwanickiego, mniejsza skuteczność ataku oraz kontuzje niektórych zawodników (m.in. Debińskiego i Kakiotka). Wyraźnie słabsza była także dyspozycja psychiczna drużyny.
- Dlaczego? — Nie przesadzałbym z przecenianiem czynnika psychicznego, ale presja wyniku była wyraźnie odczuwalna. Oczekiwali tego kibice, jak i lokalna prasa. Kiedy spodziewanych zwycięstw nie było, publiczność zaczęła reagować nerwowo, co rozumiem. Nie rozumiem natomiast postawy niektórych dziennikarzy, którzy pisali o nas wyjątkowo żłośliwie, nierzetelnie, niekiedy kłamliwie. Chęć analizy sytuacji i konstruktywnej krytyki zastąpiło podsycanie atmosfery niechęci u kibiców i imputowanie piłkarzom braku chęci do gry, wygodnictwa, brania pieniędzy za nic itd. Stworzyło to typową sytuację „Lapaj złodzieja!”. Piłkarze, wbrew po-

zorem, nie są matolkami, skórotłukami i debilami, dlatego też doskonale odczuwali tę atmosferę „zatroskania”. Taki, na przykład Janusz Kudyba, bardzo dobry na wyjazdach, przed każdym wyjściem na boisko w Lublinie trząsał się jak galareta, a po pierwszej nieudanej akcji i gwizdach był w zasadzie „ugotowany”. Chcąc być dobrze zrozumiany: nie tłumaczę tu wszystkiego niedyspozycją psychiczną, ale fakt, że inaczej grał „Motor” w meczach wyjazdowych, a inaczej u siebie jest niepodważalny i powinien skłaniać do refleksji. Można uznać to za robienie w własnej publiczności durnia, można dopatrywać się innych przyczyn. Tylko, która drużyna chciałaby mieć przeciwko sobie własnych kibiców? W tym miejscu chciałbym również serdecznie podziękować dużej grupie naszych kibiców, którzy w trudnym okresie, kiedy część prasy odsądzała nas od czci i wiary, okazywali piłkarzom współczucie, sympatię i podtrzymywali na duchu.

- Żeby usunąć plotki wokół zarobków piłkarzy „Motoru”, czy może pan powiedzieć, ile one wynosiły w tym sezonie? — Nie jest to żadna tajemnica. W „Motorze” piłkarze otrzymują stypendia do 18 tysięcy złotych żaden natomiast nie jest zatrudniony na etacie czy półetacie, bo byłaby to fikcja. Ponadto otrzymują oni premie za mecze wygrane i remisowane. Wysokość puli premiowej określają przepisy ZPZN; jest to trzy miliony złotych plus po 125 tysięcy za każdy punkt ponad 10. Jak łatwo obliczyć fundusz premiowy w naszym przypadku wyniósł 5 375 000 złotych, ale nie oznacza to, że został wykorzystany w pełni. Premie za mecze wygrane wynosiły od 25 do 35 tysięcy, a za remisowane 50 proc. tego. Jeżeli zatem drużyna wygrywała, a tak było jesienią, zawodnicy zarabiali bardzo dobrze. Wiosną — naturalnie mniej. Nie ma powodu ukrywać, że większość chłopców płaci podatki wyrośnawcze, a ich wymiar wynosił od 8 do 60 tysięcy złotych. Przy tym wszystkim należy się jednak istotna uwaga: piłkarz gra w roku sześć miesięcy, a jego rodzina musi żyć miesiąc dwanaście. Jeżeli zatem powie się, że wraz ze stypendium ktoś wziął za miesiąc 65 tysięcy, to trzeba uwzględnić okresowość tej sytuacji. Ponadto jeżeli zawodnik nie gra (kontuzja, słaba forma, kara) premii nie otrzymuje.
- W ilu klubach polskich płaci się lepiej niż w „Motorze”? — Na pewno w sześciu—siedmiu drużynach. W klubach górniczych wielu zawodników ma etaty górników dolo-wych i są to płace trochę inne niż stypendium. Naturalnie lepiej zarabia czołówka tabeli.

- Z czego utrzymuje się „Motor”? Różnie mówią... — Dziękuję za to pytanie. Są trzy składniki budżetu klubowego: a) dochód z biletów; b) działalność gospodarcza; c) dotacje. Jest mitem, iż dotacje stanowią gros naszych pieniędzy. W ubiegłym roku osiągnęły one 13 mln złotych (z tego ponad 5 mln z FSC) przy budżecie 45-milionowym. Zakład Remontowo-Budowlany (wykonujący usługi remontowo-malarskie) dostarcza ok. 12 mln złotych (w br. może nawet piętnaście milionów). Wynika z tego, że z biletów pochodzi około 15 milionów. Dane te dotyczą całości klubu, a nie tylko sekcji piłkarskiej, niewątpliwie wiodącej. „Motor” jest zatem klubem zamykającym bilans od trzech lat „na plusie”.
- Jakie wzmocnienia drużyny piłkarskiej pan przewiduje? W opinii wielu „fachowców” dziś jest w niej tylko czterech — pięciu zawodników na poziomie I-ligowym... — Ostatnie twierdzenie jest bzdurą. Dowodzi że jego autorzy nie znają się na piłce, albo brakuje im obiektywizmu. Jeżeli tylko czterech — pięciu graczy prezentuje poziom ligowy, to dlaczego „Motor” w lidze się utrzymał? Jest natomiast prawdą, że brakuje nam lidera drużyny i wartościowego ataku. Nasze starania zmierzają właśnie w kierunku uzupełnienia tych formacji. Żeby uprzedzić kolejne pytanie, szukamy w drużynach III-ligowych, wśród zawodników młodych, rozwojowych.
- A Furtoka byście nie kupili? — Furtoka kupiłby każdy klub polski, ale on nie jest na sprzedaż. W każdym razie nie za maksymalną stawkę, od której nie płaci się progresji. 10 milionów złotych. Powyżej tej wielkości handel przestaje się kalkulować. Nie wykluczam jednak, że o tego zawodnika będzie toczona wojenka...
- Jakie plany na lato? — Od 2 do 9 lipca w Lublinie. Potem, do 23 lipca obóz w Kokotku, a następnie udział w turnieju, najprawdopodobniej w Krośnie. No, a od 12 sierpnia rusza liga.
- Co planujecie na sezon 1984/85? — Praktyka wskazuje, że drugi sezon w ekstraklasie jest trudniejszy. Zamierzamy zatem utrzymać się na bezpiecznym miejscu i konsolidować skład. Tylko tyle.
- Dziękuję za rozmowę. — A ja za to, że do niej doszło. Choć złodzieja pan raczej nie złapał.

Rozmawiał: Waldemar Piasecki